

Motocyklem Do Maroka

8377 kilometrów w 24 dni

Cezet 350 '83 "Do Afryki i spowrotem, Czeski Ocean Ognia"

Polska - Słowacja - Węgry - Austria - Włochy - Francja - Hiszpania - Maroko - Hiszpania -
Francja - Niemcy - Czechy - Polska.

Wakacje 2008. Tyle miejsc nie znanych. Gdzie jechać?

Maroko 2008. Kusila mnie Syria z Turcją. Ale do Syrii trzeba kombinować wize i zgrywać to czasowo. Więc wybór padł na Maroko. Zero kombinacji z wizami, czyli można jechać jak się chce.

Po drodze do Maroka kupa europy. Bedzie co oglądać. Trasa? Żadna łatwizna. Dużo wolnego czasu więc Alpy i ich serpentyny ;-)

Dlaczego motocyklem? Wolność podróżowania. Wszędzie można zaparkować. Nie trzeba nosić plecaka. Tylko trzeba uważać na deszcze.

Sprzęt:

Motocykl: Cezet 350 1983r. Silnik dwusów znaczy 2T pałer.

2006 Wyprawa Ukraińsko-Rosyjska - 5276 km.

2007 Skandynawia & Bałtyk dookoła - 5931 km.

Sprzęt więc zaprawiony w wyprawach.

Silnik dostał nowy łańcuch zdawczy. Technicznie więcej nie trzeba było poprawiać na wyprawę.

Platynki i zapłon? W wyprawie skandynawskiej zapłon umarł od deszczu. Zapłon elektroniczny został znów zamontowany po naprawie gwarancyjnej. Został zatopiony w jakiejś żywicy. Miało to sprawić wodoodporność. Dodatkowo zamontowałem na radiatorze tego zapłonu miniaturowy wiatraczek z kompa do chłodzenia. Optyke sterowania zapłonu wywalilem i wstawiłem klasyczne platynki. Cewki (WARP ;-)) dostały pod bakiem osłone antirainTM (przeciw wodzie z deszczu i drogi).

Motocykl dozbrojono w antyczny kufer centralny. Dodatkowo zakupiłem nową oponę tylnią Mitas H03 (socjalistyczny bieżnik opracowany z myślą o drogach marnej jakości).

Dodatkowe ekliptent:

Namiot: Marabut Poligon - mała "dwójka".

Palnik CampingGaz. Zupki chińskie. Suchary. Konserwy. Apteczka...

Kask Tigerr, kurtka BF, rękawice BF, spodnie przeciwdeszczowe... Kurtka przeciwdeszczowa z jakiejś gumy. Gumowe nakładki przeciwdeszczowe na buty.

Z części zapasowych:

Zapasowy tłok, pierścienie, sworzeń, igiełki.

Kompletny alternator z regulatorem i prostownikiem.

Kilka ogniw łańcucha. Klej. Łatki.

Kilka płytek sprzęgła.

Poksylina. Uszczelniaacz silikonowy. Taśma. Druty (podstawa!!)

Dwie świece Iskra 75.

Kondensatory i przerywacze na wypadek padu elektroniki.

Skrzynia biegów z wodzikami i prowadnicą (! tak! dla nie wiedzących, trybek jest mało, układ wielkości puszkii piwa ;-)

Olej. Dwa litry 2T pełen syntetyk Orlen. 4 litry półsyntetyka, też Orlen. 250ml oleju do skrzyni biegów.

Atlas samochodowy europy 1;800000. Mapa Maroka.

Przewodnik Paskala Maroko.

.....no i w drodze! Jak zwykle, co roku ;-)



Dzień 1.

Wtorek. Napięcie. Podekscytowanie. Czy wszystko spakowałem? Motocykl wytoczony z garażu... Jak rasowa fregata stojąca w porcie. Brakowało tylko mew latających nad domem....

Motocykl zajuczony kuframi. Tylko podnieść maszty... Tylko kilka razy przekopać i zapalić. I zmienić na kilkanaście dni styl życia. Kto nie jeździł gdzieś dalej motocyklem, ten nie wie... Walka z kilometrami się zacznie...

Jeszcze raz przebiegam myślami po motocyklu i bagażach. Wsio? Dobra... Lecimy... Silnik start... Chmura dymu... Odklejanie sprzęgła.... Jeden... Zgrzyt... Norma... Lecim... W dzienniku kapitańskim odnotowano wyjście z portu... Cel - Korbielów Granica ze Słowacją...

Krajowa 945. Do granicy rzut beretem. Cezet idzie. Trochę kołysze, normalka. W końcu toboły zmieniły charakterystykę prowadzenia sprzętu. Beskid Żywiecki. Do granicy zakręty i pod górkę. Redukcja trzy... Za mną mgła... Granica wita mnie...

Szengen. Granicy nie ma. Pomyśleć że były czasy że czekało się tu kilka godzin!

Namestowo.

Dolny Kubin.

Ruzoberok. Słowackie kilometry uciekają. Słowaccy motocykliści na ścigach wyprzedzających pozdrawiają. Miło. Fregata w pełnej klasie:



.Między kuframi a motocyklem widać dwie butelki oliwy:



Góry się skończyły. Nudy zaczęły. Płasko. Wzorowe słowackie PGRy:



Uciekam z E77 na ichnię 75. Czasem muldy. Na wioskach rządzą Skody. Jaw i CZ nie widać. Krajowa 64. Granicę już widać...

Komarno. Tankuje przed miastem. Słowacja zleciała strasznie szybko. Może temu że się jedzie w dół mapy? ;-). W tm mieście kilka lat temu przekraczałem granicę na rowerze w drodze do Turcji. Most graniczny stoi jak stał. Tyle że kontroli granicznej brak.

Krajowa 13stka na Kisiber. Jechałem tędy na rowerze. Ale droga jakaś obca. Nie pamiętam jej. Jedynie kilka punktów. Wyraźnie więcej muld i wężej niż na słowacji. No i pełno ich niezrozumiałego języka.

Błękitne niebo zostało na słowacji. Obrany kierunek południowo-zachodni zbliża mnie w chmury... Co z dzisiejszym noclegiem? Małe wioski. Wypatruje jakiś ludzi. Takich co by mnie przenocowali. Zatrzymuje się na jakiejś wiosce. Zagaduje do dwóch starych dziadków. Nic nie rozumieją. Mówią coś o stacji paliw. Ludzie mi nie trzeba paliwa tylko noclegu w jakimś garażu!

Chmur coraz więcej...

Bocznymi drogami dobijam się do E66. Teraz to już napewno znajdę nocleg! Same pola. O lasach można pomarzyć. Skrzyżowanie z krajową 84. Kawalek dalej droga w prawo na jakąś zapomnianą wioskę. Trzeba tu znaleźć nocleg. Jak za starych czasów...

Zagaduje jakiegoś chłopaczka. Inglisz. Nie wie gdzie tu można rozbić namiot. Biore go aby tłumaczył, jakieś stare babki siedzą na ławeczkach. NIC. Nikt Cie nie weźmie do ogrodu na noc. A ogródków i sadów pełno! Jeszcze mi mówią że tu nie znajde noclegu. Hotel gdzieś daleko! Olać hotele. Mi trzeba 2 metry kwadratowe!

Jadę kawalek pod wioskę. Spożywczak. Jak w PL. Ludziska popijają browar. inglisz? Dojcz? Jest jeden gość. Przedstawiam sprawę. Gość myśli. Ok. Rozbije sie u niego na ogródku. 2 km. Jadę za jego dostawczakiem... Kto nie znajdzie nocloclegu? JA? JA???

Wioska nieistniejąca na mapie. W deche. Stawiam swoje M2 obok wózka z łańcuchami. Może ten gość to psychopata co łańcuchami w nocy przykuwa ludzi w piwnicy?



Zapowiada się fajnie:



Żona gościa odgrzewa gulasz. Oryginalny Węgierski Gulasz. W dechę!

Żeby było mało. Po gulaszu z gościem siadamy na jego skuter (Burgman 400) i jedziemy do pobliskiego baru. Ten skuter ma odejście jak ścig chyba ;-) W barze dwóch gości. Wrócili z Anglii z pracy. Więc gadamy po angielsku. Umią nawet kilka podstawowych polskich zwrotów bo pracowali z Polakami... Ty hu** Siier**** Odp**** etc ;-)

Trasa: Jeleśnia - Słowacja - Dolny Kubin - Zvolen - Komarno - Węgry - Kisiber - Papa - E66 - ?.

436 km

Od domu: 436 km.

Dzień 2.

Pioruny... Grzmoty... Leje wodą z nieba... Znów pioruny...

Żeby było mało to pies właściciela szczekał jak wściekły. A jak mnie w nocy pogryzie?

Poranek. Lekkie chmurki. Namiot wewnątrz suchy. Tylko z zewnątrz ścieram wodę.

Śniadanie. Podziękowanie za nocleg i pamiątkowa fotka:



Ta bestia w nocy szczekała:



Start na drogę. Do granicy austriackiej z 30 km... Przed granicą mijają mnie dwa krążowniki - BMW GS i Africzka. Też opakowani z kuframi. Granicy brak.

Nie lubię Austrii. Nie wiem czemu. Może jakiś uraz z dzieciństwa? ;-) Plan. Dobić się bocznymi drogami do drogi 69 i jechać na zachód w Alpejskie przełęcze. Więc od razu za granicą skręć w boczne drogi.



Chmury, chmury, chmury... Jakoś tak udaje mi się uciekać przed tymi najciemniejszymi. Austria ma za dużo oznakowań. Albo inaczej. Za dużo małych wiosek. Tak że źle się jedzie bocznymi drogami bo wiosek nie ma na mapie. Jakoś wpadam na ...ekspresówkę! Na drogi ekspresowe i autostrady trzeba mieć w austrii opłaconą winietkę. Ja to olałem bo wiedziałem że nie pojedę takimi drogami. A tu jedna taka wyrosła!

Decyzja?

Naprzód... Zwiększam prędkość z 75km/h do 80km/h i liczę że sie szybko skończy. Ekspresówka była krótka i się skończyła po kilku km. Radość nie trwała krótko. Pojawił się deszcz...



Deszczyki przechodziły falami. Więc przerwa pod urzędem gminy.

Zabytkowe dystrybutory na stacji paliw:





Coraz więcej górek i lasów. Co jakiś czas. Deszcz. Przeczekuje w różnych miejscach. Mógłbym ubrać przeciwdeszczowe wdzianko. Ale nie ma sensu na kilka minut, skoro za chmurą przebija się słońce...



Austria:



Chmury gonią mnie:



Więcej chmur goni mnie....



Dobra... Zaraz lunie!



Widoki jak w Anglii, przeciwmgielnych nie mam ;-)



Nocleg? Jako że wyjechałem z bloku państw socjalistycznych szanse na znalezienie noclegu "na gospodarza" zmalały niemal do zera. Okolice Klagenfurtu. Kupa wiosek. Decyzja. Kemping. Zajeżdżam do pierwszego kempingu. 12E Miło. Nawet mi zaproponowali zajęcie altany ;-)



Noc... Deszcz.... Deszcz..... Deszcz..... Zaleje mnie do rana?

Trasa: ? - E66 - Austria - 57 - 66 - 69 - 110 - Ferlach - ?

347 km

Od domu: 784 km.

Dzień 3.

Deszcz budzi mnie. Namiot? Wnętrze suche. Wyglądam na zewn? Ulewa. Dobrze że obok mam tą altanę. Motocykl i reszta gratów sucha. Więc szybka ewakuacja z namiotu pod altanę. Namiot przenoszę w całości pod altanę też...

Kurtka gumowa przeciwdeszczowa. Przeciwdeszczowe spodnie. Gumowe nakładki na buty. Skórzana chusta. Wyglądam jak astronauta. Ruchy skrępowane... Ale można jechać w ulewie. Startuję... Ulewa znika po kilkudziesięciu kilometrach... Kropli deszczu tylko jedynie...



Widoczków alpejskich nie ma bo chmury mają swój dzień:



Więcej chmur...



Chmury wychodzą z lasu:



Dobrze że tylko kropi. Zimnawo. Jazda powolna i ostrożna...



Droga 111. Z mapy wychodziło że będzie łagodnie dolinami pod górę. Błąd. Powolnie. Kupa zakrętów. Kupa wody. Czasem jazda w deszczu...



Zimno... Szaro... Buro...



Chmury uciekły do lasu...



Ale tylko na chwilę...



W szaroburowatości docieram na granicę austriacko-włoską. Fotek nie ma. Leje.

Włochy. E66/49. Prawie jak ekspresówka. Tragedia. Bo co? Samochody mkną szybko. A ja turlam się 60km/h bo woda i zimnica przeszkadza. W dodatku deszczyk zamienia się w deszcz... Jadę dalej... bo nie ma gdzie stanąć...

Ruszając w drogę zastanawiałem się gdzie się coś w motocyklu rozpadnie. Gdzie się rozkraczy, tak jak to miało miejsce w poprzednich wyprawach. W sumie trzy dni bez awari... Koniec pochyłej czcionki ;-)

957 kilometr... Nie było żadnego "JEB". A zwykle UUUuuuuuuuu...

Uuuuuuuuu.... Motocykl wytraca moc na ekspresówce.... Prędkość gwałtownie spada.... 70... 65... 60... Redukcja 3... 40km/h.... MASZYOWNIA! CO się dzieje? Nie wiadomo czemu motocykl jedzie na jednym cylindrze... Drugi padł... Jadę na 3cim biegu kilka chwil... JEB... JEB... JEB... Cylinder odzyskuje zapłon... Trochę dymu i silnik znów idzie normalnie....

Po kilku km znów to samo... Znów jeden cylinder pada... Wniosek jest jeden... WODA...

Awaria nr 1. Zajmuje wiatę przystanku PKS. Znaczący włoskiego odpowiednika PKS. PKS jest jeden. Nasz ;-)) Mniejsza o to. Przy szybszej jeździe woda przebija się w cewki wysokiego napięcia. Gorące powietrze z silnika musi tą wodę tam odparowywać i tworzyć kupa wilgoci. Przez wilgoć nie ma iskry na świecy. Kilka woreczków/reklamówek. Prawie jak poduszka powietrzna. Wpycham pod bak w okolice cewek. Można jechać dalej...

Mgły pod wiaduktem autosstrady 22 - E45.



Brakowało tylko jakiś elfów ;-)



Coraz bliżej Vipiteno... Szanse na dziki nocleg bliskie zero...



Vipiteno. Trzeba tu znaleźć nocleg. Jadę za znakami na kemping. Ale kemping to asfaltowy plac dla samochodów z przyczepami kempingowymi. Na mapie mam zaznaczony inny kemping na wschód od miasta. Jadę kilka km w deszczu za miasto ale lipa, nie ma nic.

Dlaczego muszę tu znaleźć nocleg? Bo muszę stąd jechać w strochę przełęczy Św. Leonarda, droga na zachód. Na północ droga prowadzi do Austrii. Jeszcze raz wycieczka przez miasto w deszczu. Nic nie ma. Więc jadę do tej przełęczy. Najwyżej w nocy rozbije namiot na szczycie w deszczu...

Keming znalazł się sam po kilku km za miastem... Po co ja krążyłem tyle po tym mieście? 10 euro. Kupa domków i przyczep. Motocykl parkuje pod zadaszeniem obok kibli. Ja rozbijam namiot pod drzewami. Całe szczęście że ulewa poszła gdzieś bokiem... Jest wiata. Można zrobić kolacje pod zadaszeniem. Przysiadam się do Niemców. Są tu z rowerami. Tak samo jak ja, narzekają na pogodę...

Trasa: ? - 100 - 49 - 12 - Vipiteno.

258 km

Od domu: 1 042 km.

Dzień 4.

Wystawiam oko z namiotu. I??? Jest dobrze. Nawet przebija się słońeczko. Niemcy wczorajsi pakują się na rowery. Śniadanie... Pakowanie... I start...



Atak na pierwszą większą przełęcz. Giovo. 2094 m.n.p.m. Początek serpentynami przez las... Trzy i dwa w nawrotach. Chłodno. Przynajmniej chłodzenie jest dobre. Ale Cezecie to nie odpowiada. Silnik wyje. Wskazówka na 3000 obr. I kolejny nawrót... Zakręty biorę jak tirem, po wielkim kole. DObrze że ruch prawie zerowy... Gdzie takim zabytkiem pchać się w ALPY???

Lasu coraz mniej... Mgły coraz więcej... Widoki coraz ciekawsze... I tylko bajeczne nawroty na serpentynach...



W chmury:



Przełęcz Giovo 2094m.n.p.m. Kupa motocyklistów. Dziwnie patrzyli na mój motocykl ;-)
ZACHWYTEM. Napewno zazdrość ich zjadała ;-)

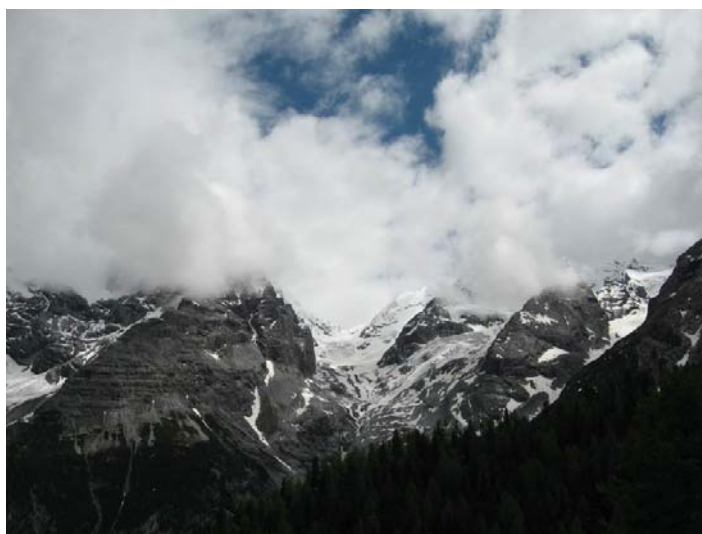


Z drugiej strony przełęczy mgła... Lipa bo nic nie widać...



Dolina drogi 38. Słoneczko świeci. Mgły zostały wysoko. Same winiarnie i wioski. Droga wąska... Zatłoczona... Byle uciec... Gdzieś będzie odbicie na ładną drogę na przełęcz Stelvio.

Przed podjazdem jeszcze obiad na placu zabaw w cieniu drzew. I pod górkę. Najpierw łagodnie. Dłgie łuki. Trzeci bieg... Cezeta idzie.... Kupa motocykli... Oczywiście wszystko mnie wyprzedza ;-) Im wyżej, tym więcej zakrętów i serpentyn. Droga wąska. W nawrotach trzeba redukować do pierwszego biegu... Tragedia bo nie da się rozpędzić do dwójki, bo zaraz następny nawrót ostry...



Silnik wydaje dziwne cykanie. Co to może być? Pękły pierścienie od przegrzania???

Jedziem dalej...



I kolejna serpentyna...



Wiodki pierwsza klasa:



Bohater się znalazł:



Kupa motocykli:



Pierwszy i drugi bieg... I nawroty:



Zarabicie się przerabia śnieg w parę wodną na gorącym cylindrze. Nic nie pękło ;-)



Szczyt. Mgła. Zimno. Śnieg. Bajer ;-) Przełęcz Stelvio 2758 m.n.p.m Nigdy nie byłem nigdzie wyżej ;-)



Prawie jak luty ;-)



Więcej śniegu:

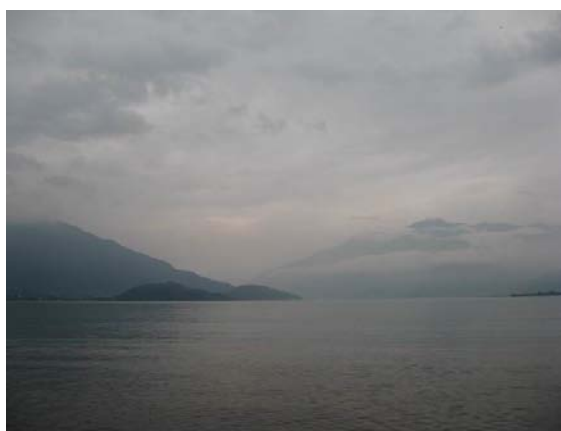


Mgła... Kupa mgły... Mgła zamienia się... W deszcz! na poboczu ubieram przeciwdeszczowca. W deszczu. Cały mokry pakuję się na motocykl. I powolny zjazd w dół... Zakręt za zakrętem... Przemoczony... Zziębnięty... Ale wiem że kilkaset metrów niżej jest ciepło... Tylko trzeba zjechać do doliny w dół...

W dolinie ciepło. Suszę się w czasie jazdy. Nocleg na dziko odpada. Kupa wiosek. Górki i winnice. Lipa. Lago do Como. Jezioro. Oznakowanie dróg do d..y. Trochę się zdezorientowałem jak chciałem dotrzeć do drogi od zachodniej strony jeziora. Ale się udało. Nad jeziorem kupa kempingów. Pierwszy. 18 euro! ZGROZA. Powaliło Was? Następny. 10 euro. Bo to w sumie nie kemping ale pole pod kampery. Dobre i to. Kolacja pod zadaszeniem. Jezioro brudnawe. Włochy. Znow kemping. Gdzie moje darmowe noclegi na dziko? Jak pogoda będzie dalej taka tragiczna to budżet szlak trafi!



Mgły schodzą do jeziora...



Zero ludu...



Sen... Oczywiście w nocy pada... Bo jak nie... I to mają być słoneczne Włochy???

Trasa: Vipiteno - Przełęcz Giovo - 38 - 36 - przełęcz Stelvio - 38 - 340d - Sórico.

262 km

Od domu: 1305 km.

Dzień 5.

Poranek. Jak zwykle ładny. Ale chmury ciągną...



H₂O na baku:



Wioskami obok jeziora... Malowniczo. Tłoczno. A chmury ciągną. Tak jakby nie wiedziały dokąd mają dziś iść...



Prawie jak Wenecja:



Przez miasteczka Cezet idzie. Pojawia się error. Na ostrych zakrętach łańcuch wydaje dziwne odgłosy. No tak. Strasznie jest luźny. Trzeba więc zatrzymać się gdzieś i poprosić ludzi o klucz 22. I przestawić tylnie koło motocykla. Na jakimś mieście zatrzymuję się przy serwisie skuterów. Jakiś dziadek nic nie jarzy po angielsku. Ale ma młodą babkę na kasie. Zagaduje o użyczenie klucza 22. Ok. Nie ma sprawy. Tylko muszę wjechać do ich wiewielkiego garażu po na chodniku nie za bardzo wypada abym dłuubał...

Zdjęcie kufrów. Motocykl na centralkę. Klucz 22. Poluzowanie koła. Jeszcze jednak trzeba 32. Nakrętka zabieraka za mocno dokręcona. OK. Koło podciągnięte. Dziękuję. Miła gadka gdzie jadę takim zabytkiem... I heja na drogę...

340. Mapa nic nie pisała o tunelach. Tunel za tunelem. Ani w Norwegi... Jak za starych czasów... Czeski Twin dudni echem 2T w ciemnościach...

Na zachód. Cały normalny ruch na wschód idzie najpierw na południe do Milanu, a później na wschód autostradami. Ja wybrałem opcję na wschód bocznymi drogami. Como - Varese - Biella. Mapa do d..y. Oznakowania inne niż na mapie. Jechałem dziwnie na ślepo... Kupa nowych dróg... Ekspresówek... I innego bądziwia.... Po drodze przerwa serwisowa w południe. Silnik po przełęczach dziwnie cyka. W dodatku osłabł jakoś. Bo czuć że słabiej idzie. Przytarłem? W końcu maszyna ma swoje lata. 1983r to nie jest młody sprzęt. Może Włochy to koniec wycieczki? Sprawdzenie ustawienia zapłonu. Stan świec ok. Na drogę...

Lepiej. Silnik cyka dalej. Ale moc wróciła po regulacji zapłonu. Elektroniczny zapłon w oparciu o klasyczne przerywacze działa nadwyraz dobrze... Kilka podjazdów... I zjazd. Teraz już prosto dolinami do Aosty...



Kupa wiosek i winnic. Zbocza wykluczają nocleg na dziko...



Przed Aostą kemping. 11 euro. Chmury idą... Co za pogoda...



Trasa: Sòrice - 340 - Como - Varese - Biella - 26 - Aosta

km: 265

Od domu: 1570 km.

Dzień 6.

Kemping z rana śpi. Cezet budzi ludzi dudnieniem... Chmura dymu idzie przez kemping. To nie mgła... To zdrowy dym 2T. Aosta. Miasto też śpi. Na stacji paliw miła rozmowa z jakimś włochem. Podróżnik motocyklowy. Ale jakiś choper oblepiony chromem...
Im wyżej. Tym ładniej:



Droga do przełęczy Św. Bernarda. Tam już Francja. Tylko do przełęczy kupa serpentyn i zakrętów. Ale łagodniej i równiej niż na Stelvio.



Krajobrazy bajkowe...



Kupa motocykli. I kupa fajnych miejsc pod fotkę...



Śnieg w lecie. Zarąbiste uczucie...



Przełęcz Św. Bernarda. 2188 m. Francja wita mnie ;-)



Cieszyć oczy...



I w dół... Z górki na luzie...



Coraz bliżej... Coraz bliżej chmur...



Kupa mgły... Ściana mgły coraz bliżej...



I mgła... Widoczność kilkanaście metrów... A jeszcze przed chwilą było bajerancko...



Kilka kilometrów i znów mgły zostają na szczytach... Zjazd do Bourg-Coś-Tam. Zakupy. Zakupów nie będzie. Niedziela. Wszystkie sklepy wyzamykane. Atak więc na McDonalda...



N90. Miała być droga gdzieś na południe. Jeszcze kilka przełęczy. Ale. Silnik wydaje jakieś cykanie. Koniec z przełęczami. N90 na Grenoble.

N90. Ekspresówka. Jak po sznurku. Szeroko. Miło doliną. Kupa motocykli. Dwupasmówka. Wszystko grzeje 120. Ja 80. Łąduje na stacji paliw. Bak do pełna. Leję trochę więcej oleju. Bo w końcu jadę na pełnym syntetyku. Może więcej oleju zagłuszy to cykanie? Od następnego tankowania będzie lany półsyntetyk. Na stacji dalej. I 20 minut przerwy. Bo kropi deszcz. Jest miło. Gadka z młodzikami z jakiegoś crosa.

N90. Lecim dalej. Liczę numery zjazdów. Bo lada moment N90 zmieni się w płatną autostradę. Autostrada przedemną. Zlatuję zjazdem na krajową drogę darmową. Początek w deche. Dłuuuuugie proste. Pola, lasy. Rzeka. Cezet idzie jak burza... Doczasu... No właśnie... Doczasu...

Standardowa przerwa przy drodze na oddanie moczu. Oglądam motocykl. Coś zwróciło moją uwagę... Wyciek paliwa pod gaźnikiem... Gaźnik zielony od świństwa jakiegoś. No tak. Oni tu w europie mają porąbane paliwo. ZIELONE. CHyba z trawy albo innego świństwa. Nawet nie pachnie jak paliwo!



Awaria nr 2.

Usuwanie awarii. Paliwo przeciekało na łączeniu wężyka z kranikiem. Banzyna jakoś rozpuściła wężyk bo stał się miękki. Wężyk został skrócony o kilka milimetrów i przykręcony na nowo do kranika. Test szczelności ok. Paliwo nie cieknie... OK. Na drogę... Lecim dalej...

Grenoble. Duże miasto. Duży problem. Jak ty znaleźć moją drogę na zachód w góry? Główne leżą na północ i południe. Nigdzie na drogowskazach mojej drogi na wschód! Błądże po centrum. Olać mapę i znaki. Na chłopski rozum trzeba jechać. Czyli najpierw na południe, skręcić w jakąś główną drogę co poleci do autostrady i modlić się aby tam był most. Wszystko oczywiście się znalazło. A później wzdłuż rzeki na północ. No i po kilku km znalazłem moją drogę na wschód w góry... Na Lans.. Villard... gra!

Serpentyny... Podjazdy... Prawie jak Alpy! Tak to jest... Boczne drogi! Zachciało mi się! Ale silnik nie cyka. Widać olej syntetyczny nie nadaje się do tego typu silnika. Nie na alpejskie podjazdy.

Lecę... Wtem! WTEM! CO widzę w lusterku? Co? Kańciate światła. Kańciate auto! Osz k! Favoritka! Wyprzedza mnie na podejździe! Czeskie tablice rejestracyjne... Jacyś goście trąbią i machają... Chyba poznali socjalistyczny sprzęt!

Wioski na dziwnej drodze. Lipa. Dużo wiosek. Na mapie tylko dwie. Nie wiem gdzie jadę. Brak numerów dróg na mapie doskwiera. Źle skręcam na jakiejś wiosce. Pytam gościa z kamperu o drogę. Wyciąga atlas wielkości encyklopedii ;-) Muszę się wrócić do skrzyżowania... I jechać inaczej... Porąbane francuzkie zadupia ;-)

Porąbane. Ale pięknie!



Mapa nic nie pisała że droga krajobrazowa:



A w deche:



Oooo:



Nocleg. Pierwszy na dziko? Górki łagodnieją w pagórki. Wioski. Pastwiska. Wąskie drogi...
Przyjemnie... Ale gdzie spać? Jadę chyba z 20 km i nic. Nic konkretnego. W końcu
zatrzymuję się w lesie. Jakaś boczna droga w dół... Idę na zwiad. Ale lipa. W dole potok i

bagna. Jedziem dalej... Jakiś pseudo las za wioską... Jakaś boczna droga asfaltowa do lasu... Jadę... I? Jest. Boczna droga do lasu na polankę. Tylko że podjazd kamieniami dość ostry. No dobra. Usuwam kilka kamieni. Projektuję wlot. Na motocykl... Zapłon... Jeden... Ogień.... Cezet idzie kamieniami jak rasowy cross. Wszystko szczela... Przednie koło traci stabilność... Zawału serca dostanę! Tylni Mitas rwie... Jest! Udało się! Dojazd do polany zakończony...

Namiot... Kolacja... Ciemność... Gdzieś w oddali dzwonią dzwonki na pastwiskach... Sen...

Trasa: Aosta - N90 - Grenoble - Villard de lans - ?

310 km

Od domu: 1880 km.

Dzień 7.

Pierwszy Dzikie Darmowy Nocleg. Pierwsza klasa. Poranny atak ślimaków i rosy:



Jeszcze tylko zjazd w dół...



Zjazd poszedł lepiej. Znów na asfalt... Znów przed siebie...

Jakiś park narodowy. Górki i łagodne zakręty. O! Do przełęczy nie podjadę. Wybudowali...

Tunel! Za tunelem serpentyny w dół:



Bohater podziwia widoki:



Zakupy. Droga 93. Nareszcie można pocisnąć. 70-80 lecmi. Za Loriol przekraczam Ren. I znów górki. Teraz tak. Którędy jechać? Można najprościej głównymi. Można i niby na skróty. Więc? Ołać główne drogi! Na skróty! Na skróty!

Aubenas - 104 - Les Vans - Villiefort - Genolac - Florac. Na mapie wygląda sielankowo. Jak w realu? TRAGEDIA! Porąbany masyw centralny ;-). Czyli kupa wzniesień. Kupa podjazdów. Wąsko na jeden samochód. Dziwne wioski. Prędkości minimalne. Oznakowanie fajne. Ale tak wąskich dróg bym się nie spodziewał!

Przed Florac przychodzi deszcz. Czekam kilkanaście minut pod wiatą, ale lipa. Nie przechodzi. Ubieram przeciwdeszczowca... I w drogę... Wolna jazda w deszczu. Deszcz zmienia się w ulewę! Myślę, przecie taka ulewa powinna być krótka... Kilometr, dwa... i przejadę... No i miałem rację... Ulewa została z tyłu, ja jechałem wąwozami w deszczyku... Kupa zamków / innego starego budownictwa.



Dolina rzeki Tarn. Zachwalana na mapie. Kupa motocyklistów nawet w deszczu. Jakies zameczki i stare budownictwo.



Co za pogoda. W Norwegii rok temu była lepsza! Ten motocykl po deszczu wygląda dwa razy ładniej!



W dolinie pełno kempingów. Więc i dzisiejszy nocleg na kempingu. 10 euro. Na kempingu pusto. Zmieniam ich toaletę na suszarnię. Zwlekam z rozbiciem namiotu bo pada deszcz... Kiedy te deszcze się skończą??? Przeciwdeszcowiec daje rady. Tylko spodnie trochę mokre. Ale jazda na deszczu w wilgoci nie służy mi ani motocyklowi. Jeszcze się rozchoruję z tego wszystkiego...

Trasa: ? - Die - 93 - Lorient - 104 - wiochy - N106 - Faux - Wąwóz Tarn - ?

296 km

Od domu: 2176 km.

Dzień 8.

Poranek? Jaki poranek!!! Nocny Alarm Bojowy! Czemu mi tak zimno??? Czemu tu tak mokro??? Pół śpiwora mokrego. Co jest? Patrzę na namiot. Góra sucha. Podtopiło mnie od spodu! Kemping zbyt płaski. A deszcz leje całą noc. Widać jakaś kałuża mnie zatapia. A spodnia część namiotu ma kilka mikro dziur. W końcu ten namiot wiele przeszedł wypraw. Dobra. Przemeblowanie w namiocie. Nie ma źle. Trochę wody wycieram ręcznikiem. Dobra trzeba iść spać dalej...

Poranek. Widok dziwny z namiotu...



Końcówka wąwozu. Pojawia się słońce. Więcej i więcej turystów...



Pogoda się poprawia. Główne drogi równiejsze... Znow większe prędkości przelotowe:



Tylko lecieć:



Albi. Na przedmieściach przymusowy postój. Chwilowa burza... Więc zakupy w supermarkecie...



Na mieście parkuje na centralnym placu. Idę się powłóczyć:



Wnętrze:



Pałętam się jeszcze bocznymi uliczkami. Ale nic ciekawego. Komercja. Jem sobie jeszcze banany na ławeczce. Z daleka widzę mój motocykl. I tylko czasem ktoś się przy nim zatrzymuje. I dziwnie ogląda ;-)

Typowa droga we Francji. W dechę ;-)



N112. Później 118 na Carcassonne. Przed Carcassonne super miejscówki na dziki nocleg. Ale godzina jest zbyt wczesna. Carcassonne. Byłem tu kilka lat temu autostopem. Więc przez miasto przelatuje. Pireneje czekają...

Przejazd przez Pireneje. Sam nie wiem. Lecieć na Andorę? W miejscowości Quillian sprawa się wyjaśnia. Jadąc na zachód do Andory wjadę w ciemne chmury. Droga na południowy wschód - błękitne niebo.

Wybór prosty. Na Axat. Zmniejszam prędkość. Wypatrując miejsca na nocleg. Lipa. Pireneje. Droga wąwozem biegnie. A jak jest coś płaskiego... To wioska. Gdzie tu dziś spać? Zatrzymuję się obok jakiś działek. Coś jak nasze ogródki działkowe. Lipa. Nie wjadę bo teren zagrodzony bramą... Co za kraj...

Nocleg na gospodarza na wiosce? Zatrzymuję się na poboczu w wiosce. Nie... Europa zachodnia siedzi po domach. Nie w tym kraju. A może jednak zapytać? Czy by nie przenocowali Polaka na kawałku ziemi? Zawracam na parking, jeszcze raz przyglądając się wiosce... W głowie zaświeciła się kontrolka bezpieczeństwa... ERROR. Czemu za mną zawrócił srebrny Volkswagen? Jadę pomału przez wioskę... Srebrne auto za mną... Nie wyprzedza mnie? Mafia? Czy co?

Staję na poboczu. Udaje że czytam mapę... Może mafia mnie wyprzedzi?

Z samochodu dobiega kobiecy głos. CO jest? Przez kask i wolne obroty motocykla nic nie słyszę... Strzępki słów... Strzępki POLSKICH słów... Wyłączenie silników... Rzucam kotwicę...

Godzinę później jadłem francuzkie przysmaki w domu Oli. Studiuje tutaj we Francji. Ma dla siebie budynek gminy. Więc jeden pokój się znalazł dla mnie. Wioska na końcu świata. Ponoć żyje tu tylko 25 osób. Za chwile wioska umrze i zostaną same domostwa. Fajne uczucie pogadać z kimś po polsku na odludziu. Cezet na zewnątrz. Dziś nie trzeba rozbijać namiotu... Głupi (czyli Ja ;-)) to ma zawsze szczęście ;-)



Wioska w nocy śpi...

Trasa: ? - Millau - Albi - N112 - Carcassone - 118 - 117 - Axat - ?

289 km.

Od domu: 2583 km.

Dzień 9.

Nie ma to jak normalny sen w normalnym łóżku, tak dla odmiany. Jeszcze śniadanie można zjeść przy stole ;-) Dziękuję Oli za miłe przyjęcie. Chyba jakbym wyglądał jak jakiś zabijaka to bym nie miał takiego dobrego noclegu. ;-)

Wioska jeszcze śpi:



Do granicy z Hiszpanią nie ma daleko. Może z 60 km. Ale to 60 km gór. Nie wiedzieć czemu, jest tu naprawdę zimno! Gdzie ta słoneczna hiszpania??? No ja wiem. jest czerwiec. Ale mogło by być trochę cieplej.

Przełęcz 1700m. Mapa nic o tym nie mówiła!

Bourg. Miasto graniczne. Pojawiają się hiszpańskie tablice rejestracyjne... Hiszpania tuż... Tuż...

Puigcerda. Cezet dojechało do Hiszpanii. Bez większych problemów. Teraz tylko przed siebie. Deszcze chyba mi tu już nie grożą???



Cezeta Tnie!



Drogą 260 i 14 na Lleidę jechałem kiedyś na rowerze. Ale jakoś wszystko wygląda inaczej. Drogę przebudowali. Wybudowali kilka tuneli. Wypas. Świat się zmienia...



Nie wiedzieć czemu te chmury się mi nie podobają. Jakoś tak ciemnieją!



Droga na południe. Ale na horyzoncie od wschodu i zachodu (jednocześnie!) idą chmury. Ciemne! Droga na Lleidę w dechę. Cezet ucieka przed chmurami...



Przed Lleidą wpadam na ekspresówkę. Dwa pasy ruchu. Jak ja nie lubię takich szybkich dróg! Na zegarze 80km/h. Cezet idzie jak burza. I tak wszyscy mnie wyprzedzają. Jakieś 25 km tej drogi mam. Tyle to przeleczę... Swoją drogą obok ekspresówki biegnie... autostrada! Dziwny kraj...

Kilometry na ekspresówce lecą... Sielanka nie trwa wiecznie!

Awaria??? Nie!!!! Sielankę przerywa ryk klaksonu ciężarówki. Pomału mnie wyprzedza trąbiąc. Nie jakiś Tir tylko zwykła ciężarówka na gdańskich blachach. Trąbi. Miga światłami. Zarąbiste uczucie. Łzy w oczach.

Dla takich chwil warto żyć.

Zjazd z ekspresówki na Fraga. Na stacji paliw tankuję do pełna. I drogą 211 na południowy zachód... Hiszpania czeka...



Nie wiedzieć czemu te chmury cały czas za mną leżą!!!



Dogoniły mnie na Repsolu. Słońce. Deszcz. I tęcza:



Droga 211. Pagórki. Mieściny. Nocleg??? Dziś dzicz napewno. Kempingów nie ma. W końcu za jakąś miejsciną skręcam w boczną drogę. Kamienie i szutry. Dobrze że Cezet lubi takie drogi... Nocleg? Jest kilka drzew... Droga prowadzi do jakiś plantacji. Wygląda na żadko uczęszczaną. Dobra. Ołać to. Trzeba iść spać...



Trasa: ? - Puigcerda - 230 - Lleida - NII - Fraga - 211 - Alcaniz - 211 - ?
431 km
Od domu: 2951 km.

Dzień 10.

Chmury! Chmury! Chmury! Dobrze że nie leje. W zimnym wietrze pakowanie gratów. To ma być Hiszpania????? Brrrrrr!

Podjazd w zimnicy na przełęcz San Just, 1452 m.n.p.m.

Hiszpanie inwestują kupe kasy w wiatraki:



Teruel. Trafiam chyba na dzień targowy. Bo kupa straganów. Cezet zaparkowana zostaje obok skuterów, ja uderzam na miasto:



Miasto jak miasto. Nie porywa mnie.



Do Cezety nikt się nie doczepił. Bo by spróbowali!



Widoki Hiszpanii centralnej:



ZIMNO. Zimnica hiszpańska. Ta pogoda robi sobie żarty. Rozumie. Nie leje. Ale tak zimno? W południe robię przegląd zapłonu. Wyubierany. Gdzie tu tak zimno??? Co jest z tą ciepłą hiszpanią???

Nawet zdjęcia wychodzą zimne!



Cuenca. Miasto z zewnątrz wygląda nowocześnie, typowo. Wnętrze pełne starych budynków. W czasie parkowania motocykla nawinął się jakiś starszy Hiszpan. Coś pobiadolił po hiszpańsku. Gadamy po migowemu.

"Trzeba mieć niezłe jaja aby takim starym motocyklem tu dojechać!"





Gdzieś na mieście miała być katedra zabytkowa. Chodziłem jak głupi po bocznych uliczkach. Do centrum dojazd niemożliwy. Ołać miasto. ;-) Obwodnice miasta przerabiają. Nie mają co robić z pieniędzmi. Budują tunel przez górę...
Na południe!



Widoki w dechę... Długie proste... Motocykl idzie...



I tylko lecieć:



Droga 310 na Alcazar. Nocleg. Same pola uprawne. Zero dziczy. Więc przez 30 km wypatruje czegoś dobrego na nocleg. Dopiero kilkanaście km przed Alcazar jakieś dzicze rosną obok drogi. Niby las... Niby krzaki... Pakuję się w boczną drogę... DObre jest... Nic lepszego nie znajdę... Kupa mrówek... Dziur w ziemi... Węże? Krety? Myszy? Pieron wie... Dobranoc...



Trasa: ? - 420 - Cuenca - 420 - ?

377 km

Total: 3328 km.

Dzień 11.

Noleg Ok. Nic nie zakłócało snu... Śniadanie... Pakowanie... Na drogę...

Alcazar. Młoda godzina. Czekam kilkanaście minut na otwarcie Lidl'a. A i tak lipa, bo pieczywa nie mieli.

Do Puertollano kupa ekspresówek. Śliczne nowe szybkie drogi. Cezet idzie jak burza. 80km/h. Wszystko mnie wyprzedza ;-)



Standardowa przerwa na poboczu. Cień drzew. Konserwa rybna.

Wielu rzeczy się spodziewałem. Wielu zagrożeń.

Ale najgroźniejsze są rzeczy których nie można przewidzieć...

Na poboczu zatrzymuje się samochód. Kilkanaście metrów od motocykla. Jakiś gość w Citroenie C4. Leci w krzaki oddać mocz. JUŻ SIĘ NIE MIAŁ GDZIE ZATRZYMAĆ???

Pobocza 20 km!

Wrócił do samochodu. Ale jakiś dziwny. Nie odjeżdża. Coś do mnie gada po hiszpańsku.

Przechodzimy na angielski: "Czy podglądałem go jak się odlewał? Czy się mi podbało? "

CO ZA POJ***Y gość?

Dobra. Co robić? Co zrobić z debilem zboczonym pedałem? Kwituje krótko, do widzenia, i wracam do otwartej konserwy. Debil dalej siedzi w samochodzie. Patrzy na mnie i gada o swoim przyrodzeniu. Udaje głupiego i traktuje go jak powietrze.

Na takie coś nie byłem przygotowany. Jedyne co mi przyszło na myśl to olać debila. Jak zaczne z nim gadać to się jeszcze debil podnieci? Więc zajmuje się konserwą a debil siedzi w samochodzie. Mija minuta i odjeżdża...

Może trzeba było spisać nr rejestracyjny i zgłosić na policję? Może to był jakiś pedał zboczeniec poszukiwany? Kij to wie? Pakuje graty... Trzeba stąd jechać czym prędzej. Jeszcze gotów zawrócić! Poj****i zboczeńcy!

Droga 420. Dwie przełęcze. 856m i 908 m.



Montoro. Nie istnieje prosta droga na południe. Więc co kilkanaście kilometrów robię uniki bocznymi lokalnymi drogami. Wszystko super oznakowane. Więc nie ma problemów z mapą. Tylko co jakiś czas sprawdzanie na mapie czy się jedzie dobrą drogą.

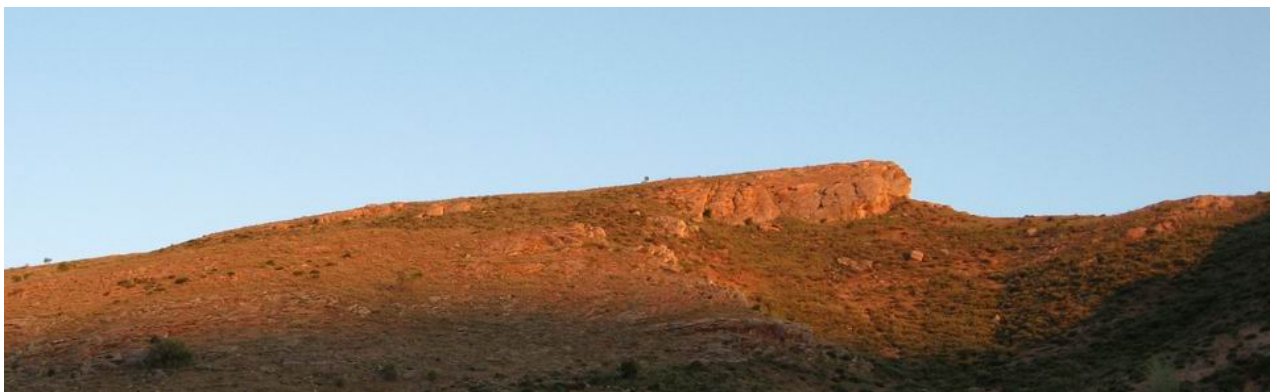
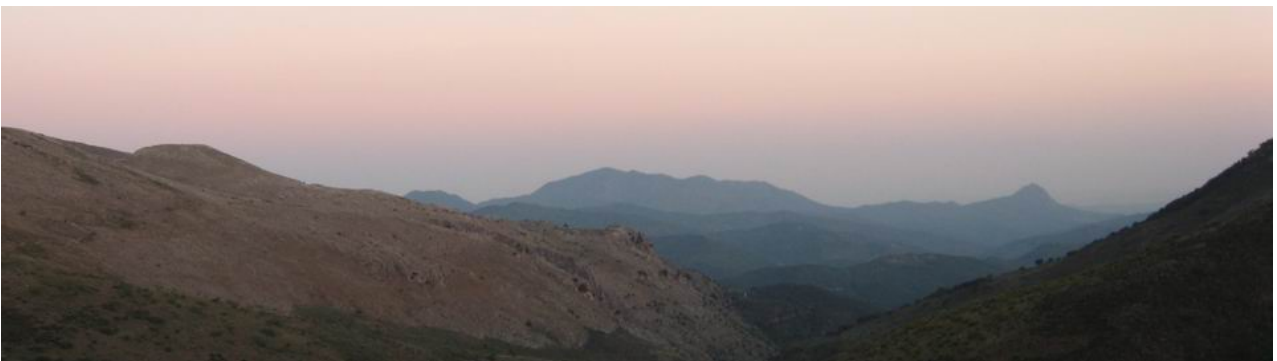


Bujalance. Dwie stacje paliw zamknięte. Nie, nie święto. Nie ma paliwa! Na oparach docieram do Castro del Rio. Jest stacja. Jest paliwo. Mi się udało. Bo diesla brak. (przypis autora: Czyli mnie ;-). Dopiero w Maroko dowiedziałem się że w tym okresie w Hiszpanii miał miejsce mały kryzys paliwowy, problemy były z zaopatrywaniem stacji w paliwa).

A92. Ekspresówka. Standard lecę 70-80km/h. Policja. Siedzi mi na ogonie. Tylko czekam aż włączą koguty i mnie zatrzymią za wolną jazdę ;-). Na ekspresówki nie mogą wjeżdżać motocykle poniżej 125cm³. Cezet ma 350cm³, ale to jest prawie zabytek! Policja wlecze się za mną jakąś chwilę... Wyprzedza mnie... Ufff... Pojechali gdzieś przed siebie...

Z ekspresówki zjazd na Ronda. Teraz tylko znaleźć nocleg. Niestety. Piętrzą się góry. Nolegu nie widać. Z ciekawości sprawdzam ceny noclegów na kempingach. 12, 10 i 18 euro. Ceny nie dla mnie. Pogoda OK. Więc jadę dalej...

Ronda. Malownicze miasteczko. Jeszcze piękniejsze w zachodzącym słońcu. Noclegu nie widać... A droga już prosta. Zaraz na mapie będzie widać morze! Cezet pomału wspina się pod górę. Do morza jakies 60 km. Nolegu nie widać... Przełącz i w dół... W końcu skręcam w boczną drogę. Idzie do ... nikąd. Jakiś stary kawał asfatu. Rozbijam namiot na kamienistym podłożu. Słońce zaszło. Dobre miejsce. Nikt tu nie będzie jeździł...





Trasa: ? - 420 - Montoro - Castro del Rio - Puente Genil - A92 - Ronda - ?
511 km
Total: 3840 km.

Dzień 12.

Kozy? Owce? Bydło? Gdzieś echo niosło dzwonki... Nareszcie ciepły poranek. Śniadanie... I na drogę... W końcu gdzieś za kilkoma szczytami... Koniec europy... Afryka czeka?



Algeciras. Im bliżej miasta, tym większy ruch. Przed miastem dopadam ekspresówki. Teraz tylko trzeba znaleźć supermarket i przeprawę promową. Więc w supermarkecie ostatnie zakupy w europie. Nawet mają olej do dwusówów. Cepsa 2T do skuterów. 4,96 euro.

Za znakami docieram do czegoś co wygląda jak port. Szlabany? Światła. Wszystkie auta przejeżdżają. No to ja też. Port widać. Kraniec europy. Teraz trzeba się przeprawić na drugą stronę Cieśniny Gibraltarskiej. Po drugiej stronie Afryka, hiszpańska enklawa - Ceuta.



Dojazd do terminala. Terminal wygląda jak budynek lotniska. Parking chyba płatny. Ale motocyklem sobie stoję na jakimś poboczu. Cezet zostaje, ja idę szukać biletów...

Kilka mniejszych kas. Pytam o ceny. Najchętniej bym zabrał jakiś bilet we dwie strony (ale tzw "open" czyli z otwartą datą powrotu). Naganiacz się pojawia. Abym poszedł kupić bilet do agenta, że niby taniej. Jak taniej. Jak widać po cenach że taniej na kasie. W końcu kupuję bilet w jedną stronę 39 euro. Bo wychodzi taniej niż bilet "open" w dwie strony - 90 euro.

Zapłata kartą. Lipa. Ich terminal nie chce mojej Maestro. No to może Visa Electron? Lipa. Pewnie modem w banku w pl nie wyrabia ;-). No to gotówka. Bilet jest. Godzina wolnego czasu do wypłynięcia:



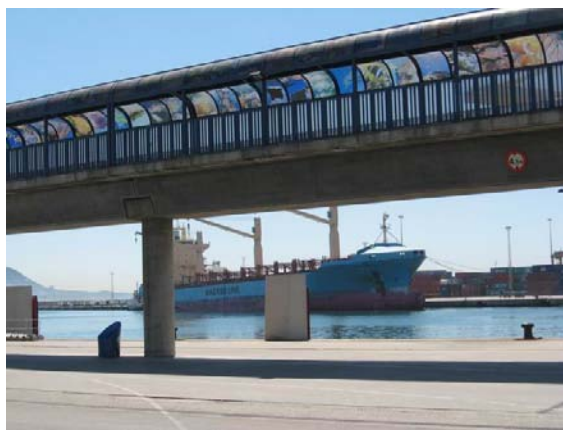
Terminal:



Czekanie przed bramą:



Stateczki:



Inny prom:



Inny statek:



Prom dopływa. Pakujemy się. Motocykl sam muszę przywiązać do pokładu. Na promach norweskich zawsze to robiła obsługa. A tu jakaś samoobsługa. No i płyniemy. Gibraltar i europa zostają w tyle:



Daleko w tyle:



Zmieniam mapę w tankbagu. Maroko. Ciekawe. W Turcji było w deche. Ciekawe jak będzie tu?

Szokująco!



Ceuta. Miasto we.... MGLE???? Upał 35st i MGła?????



MOŻE JA K... DO ANGLII DOPLYNAŁEM????



Ja człowiek z dalekiej wioski pierwszy raz coś takiego widzę. Dziwna gorąca mgła, z kurzem. Zawiśnięta w mieście jak mleko.

Cumowanie. Palenie maszyny... Zjazd po rampie:

Inny kontynent jakby nie było. Za znakami w stronę granicy... Ceuta. Hiszpańskie miasto. Ale klimat marokański. Brudno. Tłoczno. Tylko rejestracje świadczą o tym że to kawałek hiszpańskiej ziemi. Inny świat...



Tam gdzieś jest granica... No to lecim... Uśmiech na twarz... I lecim!



Hiszpańskie bramki:



Hiszpańska granica bezproblemowo. No to marokańska. Kilka pasów ruchu. Pogranicznik mnie kieruje na wydzielony pasek z innymi samochodami. Szybka ocena sytuacji. Łatwo nie będzie. Bo tu lekki sajgon jest...

Przylatuje naganiacz. Trzeba go olać. Kulturalnie. Idę pod budki pograniczników. Kupka ludzi. Wszuycy mają jakieś blankiety powypełniane. Kto je rozdaje? Naganiacze. Mój olany naganiacz mnie znów atakuje przy motocyklu. Ale biorę od niego blankiet. Ale lipa. Blankiet po szlaczkach marokańskich i francuzku. Naganiacz na szczęście mi tłumaczy rubryki na angielski. Blankiet wypełniony.

Do kolejki. Gadam z jakimś hiszpanem stojąc w kolejce. Lipa. Wychodzi że muszę mieć jakiś świstek od wjazdu pojazdem. Hiszpan kołuje dla mnie świstek. Znów papierkologia i wypisywanie. Naganiacz robi za tłumacza rubryk.

Trzecie podejście do budki. Stęple i podpisy. Ok. Podprowadzić motocykl. Naganiacz dostaje 2 euro. Ja przepycham motocykl. Jedni oglądają. Przemycam coś? Chyba olej! Jeszcze inne pieczątki. Ani na granicach ruskich.

Lecieć! Wsio! Na motocykl. Przekopanie. Zapłon. Start. I chmura dymu!

Sajgon! Za granicą chyba 500 ludzi czeka na autobus / taksówki. Jak mrówek. Jeden... Dwa... Trzy... Cezet ucieka. Bo już naganiacze klaskają w dłonie! Już chcą dopaść turystę! Droga 28 na Tetouan. Sam kontrast. Z jednej strony super droga. Śliczne nadmorskie kurorty dla ludzi z europy. Nówki palmy. Deptaczki. Z drugiej syf. Blokowiska. Śmieci. Tony śmieci. I tak w kółko.

Piorytet. Kasa. W mieścinie Midiq postój. Jest jakiś bank i bankomat. Ile zabrać kasy? Nie wiem ile stoi waluta marokańska. Wiec na oko biorę jakąś kwotę. Najwyżej się gdzieś zmieni na euro lub dobierze jak braknie.

Midiq. Jakieś kawiarenki. Butki. Ani Międzyzdroje. Widać kasę pompowaną w miasto. Brygady sprzątaczy sprzątają drogi. Inne brygady sadzą palmy. Inne brygady sadzą trawy i inne chaszczce.

Pierwszy dzień. Czyli aklimatyzacja na obcej ziemi. Piorytet drugi to kemping. Mapa pokazuje że wzdłuż wybrzeża powinna być masa kempingów. Nic bardziej mylnego. Ani jednego! Skręcam z głównej drogi na drogę wzdłuż wybrzeża. Cabo Negro. Martil. Jest jakiś znak do kempingu. Ale chyba był tutaj 10 lat temu.

Przedmieścia Teoutan. Na stacji paliw leje do pełna. Miła rozmowa z obsługą stacji. Teraz tylko znaleźć drogę na wybrzeże. Jakas lokalna. Ale o dziwo są nawet znaki. Tyle że droga zamknięta, bo leją nowy asfalt.

Na stacji paliw pytam o objazd jakiś. Jest objazd. Ale gość nie wie jak wytłumaczyć. Ale zaczyna krzyczeć do jakiś młodzików na skuterach. Też jadą w tamtą stronę. Mam jechać za nimi.

Dobra. Nie ma źle. Jest jakiś objazd. Ale jaką drogą! Szutry! Kamienie! Gruzowisko! Cezet idzie jak rasowa AfrykaTwin na rajdzie Paryż-Dakar goniąc skuter. Tumany kurzu. Przednie koło traci przyczepność na luźniej nawierzchni. Zawias pracuje na maksa. Jeszcze się coś rozpadnie!

Jest asfalt... Teraz tylko droga do morza...



Na poboczach, tak jak w albanii, kupa syfu i morze:



Kolejne wioski. Jezdnie mudziaste. Trzeba uważać na dziury jak w polsce. Kempingów nie widać... Jadę pomału... I???? Kemping? Za wielkim ogrodzeniem jakieś budynki i kamper. Kemping? Nie ma znaku. Jest tylko znak parkingu. Ale zawracam... Można zapytać... No przypomina kemping. Zalesiony teren. Stoi kamper na hiszpańskich blachach. Jest budynek co wygląda na recepcję. Żyje kto tu? Halo? Wyłazi babka. Problem. Babka zna tylko ichni i francuzki. No to lipa. Ale od czego się ma ręce i nogi. Więc się dogadujemy. Tak, to jest kemping. Cena? 30 dirnamów. Czy to dużo? Czy mało? Patrę w portfel. Na stacji paliw zapłaciłem znacznie więcej za paliwo. Czyli te 30 to powinno być mało! (przypis autora: 30 D to ok 8pln)

Ok. Zostaję na jedną noc. Byłem na wielu kempingach. Ale ten był najbardziej... zburzony ;-). Kible i infrastruktura były zniszczone jak po jakimś zamachu ;-). Nie było trawy, ale były mrówki i pająki. Ale i tak fajne miejsce. W spokoju przegląd motocykla:



Do plaży bliżutko. Ale w piasku kupa śmieci:



I znak oznaczający kemping:



Droga przez wioskę:



Na kempingu jeszcze spotykam hiszpana od kampera. Jeździ po maroku. Bo tanie paliwo i tanioccha ogólnie. Czy mi się podoba tutaj? Napewno inaczej. Drogi dziurawe jak w polsce. Sielanka ;-)

Trasa: ? - Algeciras - Ceuta - Tetouan - Cap Mazari

159 km

Od domu: 4000 km.

Dzień 13.

Bym zapomniał. Zdjęcia kempingu. To jest jakiś nowy styl architektoniczny. Nazywa się rozp*****!



Jak się chciało wodę, to się informowało obsługę, i odkręcano ukryty zawór ;-)



Moje M2 i fregata:



Plan. Jechać drogami obok morza. Aż do Al Hoceimy.



Ale już po kilku km bierze mnie nerwica. Ostre zjazdy i podjazdy. I tak w kółko!



Mieścina Et-Tleta. Główna ulica w remoncie. Czyli znów jazda po kamieniach i gruzie. Wymijając koparki i ludzi z łopatami. Dobrze że nie jadę samochodem! Zmieniamy plan. Ołać drogę obok morza. W głąb lądu prowadzi droga do Chefchaouen. Pytam taksówkarzy czy droga jest dobra i czy ma asfalt. Tak ma. Swoją drogą taksówki w Markoku to same mercesesy beczki ;-)

Za miastem stacja paliw i warsztat mechaników. Potrzebuję klucza 22 i 32 do naciągnięcia łańcucha. Oczywiście nikt nie zna angielskiego. Właściciel gada po francuzku. Ale się dogadujemy i sobie znalazłem klucze. Więc naciągam koło. A koło mnie co jakiś czas gapie się pojawiają. Więc skręcam koło czym prędzej... I to był błąd...

Za stacją paliw pierwsza roгатka policyjna. Jest znak stopu. I czeka się aż policjant machnie ręką aby jechać. Władza dla turystów bardzo miła. Nawet mnie nie zatrzymują

tylko machają aby jechać... Mieścina znika. Pojawiają się wioski. Domostwa skleciane z
byle czego. Lepianki i owce. Bez prądu. Inny świat. Bieda i owce...

Awaria nr 3.

Kilkanaście kilometrów dalej męczy mnie niepokojący dźwięk. Wycie. Motocykl słabnie. Co
jest? Pobocze. Łańcuch jest za mocno naciągnięty. Lipa. Nie mam klucza. W okolicy
strome zbocza. Co? Jadę dalej. Nie będę się wracał... Awarię usunę gdzieś dalej...



Łańcuch wyje na zębatkach. Urwie się? Ma może z 1 cm luzu. A jak wytargam łożysko? Jeszcze te nieszczęsne muldy w drodze. Więc jadę z duszą na ramieniu... Wtem... Na poboczu stoi jakiś dostawczak... CZESKIE TABLICE REJESTRACYJNE!

Hampel! Mitas H03 gryzie oponę piszcząc pokazowo. Nawrót! Trąbie na dostawczaka i zatrzymuje się:



Funa i Ja. Funa jest Hiszpanką. Ma męża czecha. Wspina się z innymi po drugiej stronie rzeki. Przyjechali do maroka powspinać się po skałach. Rozmawiamy po czesko-angielsku. Drze się na całe gardło do męża że Polak przyjechał na starej jawie (przypis: ludzie myślą cezet z jawą bardzo często ;-) z Polski!

Jak się okazało w Mercedesie mają skrzynie z narzędziami. I jest mój klucz 22! Zamiast 32 użwam moich kombinerek ;-) Poluzowuję łańcuch i jeszcze tylko test na drodze:



Pożegnanie, i dalej na drogę...



Gdzieś po drodze mijam dwa enduraki. TT600. Blachy holenderskie. Kostki. Sakwy. Nie gasimy silników. Wymieniamy kilka zdań

...

"Macie fajną podróż! - kwituję ich.

"Nie, to TY masz fajną podróż! - kwitują mnie patrząc z podziwem na mój motocykl.

Ale się uśmieiałem. Żegnamy się... Każdy w swoją drogę...

Docieram do drogi 28. Nareszcie koniec muld. Ładny asfalt. Gdzie lecieć? No to lecę do tej nieszczęsnej Al Hoceimy. Przez góry... Kupa podjazdów i zakrętów... I problem... Z naganiaczami!

Wyprzedza mnie bus. Trąbi. Gość macha. Krzyczy w różnych językach abym się zatrzymał. Zwalnia i zatrzymuje się na poboczu. WYprzedzam dziada. A ten znów za mną... Trąbi... Miga... Dobrze że gdzieś skręcił i dał sobie spokój!

Gdzieś na stacji paliw:



Co stanę na poboczu. Gdzieś z krzaków pojawiają się pasterze. Oni wszędzie pasą te owce.



Najlepsze są przejazdy przez miasteczka. Miedzy miasteczkami drogi super. A wewnątrz tragedia. Czasem zamiast asfaltu jakieś gruzowisko. Kurz. Syf. I zaraz jakiś naganiacz biegnie! Nie dadzą człowiekowi spokoju!



Przejeżdżam obok parkingu. Jakiś kierowca już coś krzyczy. Haszysz! AAaAA! Wszystko stało się jasne. Nie mają komu sprzedać towaru.... Dzięki... ;-) Jadę dalej... jednak kierowca ciężarówki nie daje za wygraną! Pojawia się w lusterku! Mrugając światłami i trąbiąc! Cezet vs Rozlatująca się Ciężarówka. Nie da rady mnie wyprzedzić! Po kilku km zawraca! CO za ludzie ;-)

Oznakowanie na drogach lipne. Myślałem że dojeżdżam do AlHoceimy, a byłem dopiero w połowie drogi. Więc zmiana planu. Na Fez biegnie tu droga na południe... Więc lecim do Fezu... Górki... Ładny asfalt.... I haszysz.

A haszysz? Całe pola (przypis: w tej prowincji można chodować zioło na własny użytek, ale nie można go sprzedawać) i bynajmniej nie są to paprotki!



Więc co wioska ktoś mnie woła. Nerwicy dostanę. Z mobilnych handlarzy goniła mnie jeszcze taksówka i jakiś synek na skuterze. Bynajmniej zawsze w ruchu z uśmiechem im odmawiałem ;-)

Im dalej od gór. Tym spokojniej. I widoczki coraz ładniejsze.



Co kilkadziesiąt kilometrów szlabany i posterunki policyjne. Znów miło. Turystów przepuszczają. A swoim przetrzepują bagaże.



Nocleg? LIPA. Nocleg na dziko? Sam step. A raczej ściernisko i zawsze stado kóz na nim:



Na odludnej stacji paliw pytam o nocleg. Może się rozbije gdzieś za stacją? Nie ma szans. Odsyłają mnie na kemping w Fezie... Więc lecim do Fezu. Cezet idzie jak burza po wyśmienitych drogach...



Pustynia? Nie, nie pustynia! ;-) Step. Wyschnięta trawa ;-)



Fez. Pakuję się w tłoczne miasto. ZAKOPCONE. SMOG. Ruch jak w mrowisku. Jak w tym galimatiasie znaleźć kemping??? Jadę główną drogą. Ten galimatias... Staję gdzieś na poboczu i analizuje przewodnik. Przewodnik z 1998r ;-) Porównuje z mapą. Lecę! Jakąś główną drogą wylatuje z miasta.... I docieram do innej dzielnicy... Na stacji paliw pytam o kemping. O dziwo. Gość tłumaczy. Trzecie światła w lewo. Za łatwo poszło.

Trzecie światła. Ruchem kieruje policja. Pytam o kemping. Dobrze, w lewo! Gdzieś tam ma być obok stadionu. Cezet idzie w ruchu ulicznym. Trąbią. Jest cudnie. Słońce zachodzi... Jest stadion. Są znaki do kempingu...

Cena trochę wysoka. 90 D. Ale słońce zachodzi. Zostaje. Kemping pusty. Ładny. Czysty. Europejski. Na recepcji chyba trochę się zawiedli że nie kupiłem jakiś pamiątek. Olać Ich ;-)

Trasa: Cap Mazari - P28 -P39 - Ketama - Fez

351 km.

Total: 4351 km.

Dzień 14.

Fez. Graty zostawiam na kempingu. Z Cezet uderzam na miasto. Bez kufrów i namiotu jazda Cezet nadzwyczaj łatwa. W sam raz do korków i przepychania...

Centrum miasta to plątanina ponoć kilku tysięcy małych uliczek. Motocykl zostawiam przy jednej z głównych bram. Chyba go nikt nie zwędzi? Nikt się nie połakomi na takie Coś? Idę przed siebie. Trzeba gdzieś widokówki kupić:



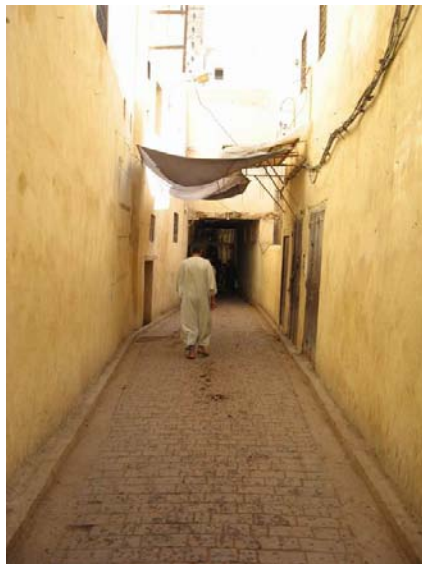
Uliczek jest masa. Wąsko. Więc całe zaopatrzenie idzie na ...osiołkach!



Stare jak świat. Co jakiś czas jakiś naganiacz, albo natrętny sprzedawca. Zawsze miło olewam ;-)



Jak ja wrócę z tego labiryntu?



Sprzedają wszystko. Stragany i sklepiki. Od kalkulatorów po ręcznie tłuczone garnki z metalu.





Katarki. Znaczki na pocztce. Placki. Pieczywo. Jakieś lchnie wypieki. Motocykla nikt nie ruszył. Widok z głównej drogi na Fez:



Owce (czy kozy?) są wszędzie:



Na kempingu gość ma pretensje. Że mi policzy za rozpoczęcie drugiej doby! Jak z rana wychodziłem to załatwiałem to zinnym gościem i nie było problemu. Jakiś niesympatyczny ten Koleś. Zbieram graty i umyłam się.

Obok stadionu mijam jeszcze konwój niszczycieli. Kilka ciężkich motocykli BMW klasy GS Adventure. Olali moje pozdrowienie. Nie wiem czy im nie za ciepło. Stroje motocyklowe.

Ja po maroku latam w jeansach i bluzie z kapturem. Motocyklowa kurtka zwinięta. Koniec czerwca. Zaczyna tu słońce dokuczać. Pomyśleć że kilka dni temu marzłem!

Na wylocie z miasta... Supermarket! I w jedną chwilę, przenoszę się do Francji. Normalny wielki supermarket. Opisy po francuzku. Ale dziw. Pod sklepem konsumuje zimne jogurty. Nawija się ochraniarz. Ale po angielsku nie umie. Nawija się dwóch marokańczyków. Jacyś kształceni. Bo rozmawiamy o maroku, czy się mi podoba. O polityce:

"A to prawda że Polska trzyma dalej ze Związkiem Radzieckim i że nie wolno mieć prywatnych dóbr osobistych?????" myślałem że padnę.

"Tak było 30 lat temu! " ;-)



Szlaczki:



Dobrze że główne drogi opisane po "naszemu":



Na Volublis:



Widoki pierwsza klasa:



No nie?



Japońskie ciężarówki dają radę ;-)



Bohater się znalazł, znowu ;-)



Step. Ścierniska. I tylko gnać za horyzont...



Volubilis. Starożytne rzymskie ruiny miasta. Upał leje się z nieba. Ale idę. Wstęp płatny w budce. Parking płatny. No to spacer po ruinach.

Poniżej. Pierwsze znalezisko. Beton fabryczny. Na moje oko XX wiek naszej ery ;-)



Dalej było ciekawiej:



Opisy budynków po angielsku. Upał się leje. Turystów mało.



Zabytkowe na cały świat mozaiki:



Łuk truinfalny:



Dobrze że poszłem w upale. Bo ja wychodziłem z ruin. A już docierały autokary pełne turystów...

STOP:



Na każdej wyprawie pojawia się punkt powrotu. Punkt w którym nie jedzie się dalej. Jedzie się bliżej domu. Gdzies na południe można jechać na wiosnę lub na jesieni. Kasa idzie. Powrót trzeba zacząć... Na północ!



Quezzane. Nocleg na dziko? Zero lasu i innych miejsc. Same pola. Na przedmieściach miasta jest zajazd dla kamperów. Ale nie ma miejsc pod namiot. Gość może mi dać pokój na noc. Tylko 10 euro! Już wolę spać na pustkowiu! Zresztą w Chefchaouene jest, ponoć kemping. Więc tylko trzeba przelecieć przez góry...

Cezet idzie. Nic się nie sra. Wogóle dziwne. Zero awarii. Może gdzieś będzie wielka awaria?

Chefchaouene. Docieram wieczorem. Przewodnik z 1998r podaje że kemping jest gdzieś na szczycie miasta. Bo miasto zbudowane na wzgórzu. Tylko znaleźć! Na mieście spotykam dwa krążowniki turystyczne. XJ900. Goście z francji. Szukają hotelu. Wypytyują ludzi po francuzku. Dla mnie wyptali o kemping. Jest na szczycie miasta. Obok hotelu. A hotel widać. Tylko trzeba dojechać za znakami pod hotel... Żegnamy się... I lecim....

Przez miasto ostro pod górę. Jest i kemping. Młody gościu zna angielski. Cena? 5 euro. Ok.



Najlepszy marokański kemping. Cicho. Zaplecze ok. I fajni ludzie. Niemcy kamperem i jakiś Belg. Jedzie terenówką przez Afrykę. Terenówka przerobiona na dom. Ale trochę chyba porąbany. Idzie lato. Nikt normalny nie jedzie w tą porę na atak afryki!

Trasa: Fez - Volubilis - Quezzane - Chefchaouene

283 km

Total: 4635 km.

Dzień 15.

Jak co rano. Śniadanie i pakowanie maneli. Zza płotu wystaje głowa marokańczyka. I coś woła po cichu do mnie:

- Pssst! Pssst!
- Co jest?
- Hasz! Dobry towar!

Odmachuje ręką i dziękuje. Jem śniadanie. A ten dalej cicho syczy na płocie. Udaje że go nie widzę. W sumie kraj biedny. Na turyście można zarobić. Tylko trzeba znaleźć kupca. Niemcy z rana dają mi na drogę kilka konserw i paczek spaghetti. Sami mówią że kupili tego za dużo na wyprawę. Gdzie Ja to pomieszczę??? A może w tym spaghetti są sprasowane narkotyki do przemycenia przez granicę???

Miasto budzi się do życia:



Atak na bankomat. Trzeba dobrać trochę kasy aby nabrać taniego paliwa.



Na Tetouan. Fajne tablice mają:



Biała dłoń:



Pepsi powala:



Na stacji paliw za 1 euro kupuję zarąbistą pamiątkę. Plakietka z ograniczeniem do 85km/h. Chyba każda taksówka ma tam coś takiego ;-)



Tetouan. Mijam jakoś pseudo obwodnicą. Ruch duży. Nawet są znaki do McDonalda:



Rozbudowywana infrastruktura turystyczna:



Z jednej strony sielanka:



Z drugiej strony plac budowy:



Opuszczam Maroko. Kilka dni na afrykańskiej ziemi. Szkoda że tu tak daleko z Polski ;-)
Przed granicą tłum ludzi. Taksówki nawijają. Pogranicznik kieruje mnie na jakiś pas ruchu.
Docieram do kolejki. No i co?

Idę do pierwszego okienka z paszportem i dokumentami. Gość daje mi papierek do wypełnienia. No to wypełniam, problemu nie ma z francuzkim, bo mam podobny wypełniony papier wjazdowy.

Do okienka znowu. Ok. Pieczętki strzelają. Jechać do kontroli.

Kolejka kilkanaście aut. Ale przepycham motocykl. Nie będę czekać. Z boku za stalowym płótem przejście piesze. Sajgon. Pogranicznicy coś krzyczą. No tak. Ceuta to już inny świat...

JEB! Huk! Krzyk tłumu. Wszyscy podchodzą za budynek. Coś się tam dzieje. Podchodzę i Ja. Od strony Ceuty do Maroka biegnie tłum ludzi. Tak jakby próbowali na lewo wrócić do

kraju. Policyjne syreny i koguty migają. Co jest? Tłum przebiegł za budynek więc nie wiem o co chodzi. Kontrole na granicy zatrzymali na chwilę, ale za chwilę wrócono do odprawy. Kontrola celna. Otwieram nawet kufry. Kontrola graniczna. Kilka metrów i:

Kontrola graniczna i celna szybko i gładko. Ceuta wita mnie ponownie.

Terminal przepraw promowych. Już przed wejściem naganiacz. Kup Pan bilet TAM! Olewam naganiacza, że niby mam bilet powrotny wykupiony. Ale ten NIE! Dalej za mną. Przylatuje drugi naganiacz! Ale pierwszy naganiacz odpędza drugiego! Gubie naganiacza w kiblu!

Kasy. Kupuję bilet, 38 euro. Tak jak wcześniej. Prom odpływa za 30 min. Więc szybko po motocykl i wjazd do doprawy:



Odprawa na prom dokładna. Sprawdzają bagażniki. Mają psa. Pewnie szuka narkotyków. Z promu wyjeżdżają marokańczycy co wracają z europy. Kupa niemieckich blach. Auta przeładowane na maksa. Wiozą wszystko w bagażnikach i na dachach. Wszystko. Rowery. Leżaki. Stoły. Pakunki. Wszystko. Z promu zjeżdżają jeszcze turystyczne BMW, transalpy i Afryczki. Wszystkie na niemieckich blachach. Za sterami jakieś dziadki.



Cieśnina i kontenerowiec w porcie:



Algeciras. Studia mapy. Jak wracać? Tyle dróg? Wybrzerze odpada. Tam będzie ładnie, drogi i lipa z noclegami. Przez centralną hiszpanię. Ale inną drogę. Ok. Lecimy do Sewilli. Go!

Z miasta prowadzi ekspresówka. Więc znów trzeba szybko lecieć. Kilka tuneli. Ruch duży. W końcu uciekam na lokalną drogę do Arcos:



Plan jest taki. Znaleźć nocleg przed Utrera. Bo to raptem tylko będzie 30 km od Sewilli. Ale lipa. Im bliżej Utrery tym mniejsza szansa na nocleg. Same pola uprawne. Utrera. Sewilla 30 km. Tam już noclegu nie będzie. Więc? Nie będzie jutro Sewilli? Jadę na północny zachód. Najważniejszy jest nocleg. Kolejne skrzyżowanie z drogą na Sewille. Są jakieś gaje oliwne. Ale brak wjazdu. Kilka km dalej są następne gaje. Zatrzymuje motocykl na poboczu. Gaje fajne. Nocleg jak znalazł. Nie ma drogi dojazdowej. Ale jest luka co można wjechać motocyklem. Samochodem nie da rady bo zawiśnie na podwoziu.

Ale Cezet? Nawró! I biegi terenowe. Jak rasowy kross ;-)
Ale tu dziur w ziemi. Szczury?
Króliki? Zające? A może mega węże?



Trasa: Czewczalen - Tetouan - Cesuta - Algeciras - 381 - Arcos - Utrera - ?

301 km

Total: 4936 km.

Dzień 16.

Nigdy więcej spania 10 metrów od drogi. Nie ma to jak pobódka przez poranne tiry. Sewilla. Za znakami lecę na centrum miasta. Ruch. Kupa świateł. Skrzynia biegów nie lubi takiej jazdy. I gdzie to centrum? Gdzie? jest wielkie rondo z pomnikiem. Parkuje motocykl obok jakiegoś uniwersytetu. To chyba centrum?

CHyba tak bo kupa turystów robi fotki:



Jest mapa miasta. Więc do centrum kawałek z buta:



Katedrę zwiedzam przed zamknięciem. Nie wiem czemu wszystkich wypraszają z wewnątrz.



Jeszcze tylko kafeja internetowa. Kawalek nałogu. Jak ja dawno nie siedziałem na necie.

Na ekspresówce IV docieram bez problemu. Oznakowanie super. Nie można się zgubić. Znów więc kilkanaście kilometrów męczenia. Za dużo piratów na tej drodze... Uciekam na lokalną 455.

Lora del Rio. Wieloma drogami jechałem w Hiszpanii. Wieloma super drogami. I w końcu trafiłem. Droga 455. Wąsko. Muldy. Dziury. Jak u nas. Tylko wypatrywanie nierówności. Masakra podjazdy... Dobrze że się to skończyło po kilkunastu kilometrach...



Od tamtych muld kontrolka świateł długich mówi pa pa. Oprawka odpadła. No żarówka sobie zwisa:



Mrówki. Zarąbiste. Same sobie wyczyściły drogę z syfu do mrowiska.



Znów wyśmienite drogi:



Bohater po raz kolejny:



Noleg. Pustkowiec pustkowiami. Ale przydał by się jakiś las. Lasów brak. Są te ich gaje. Więc wjeżdżam w gaj. W sumie jakiś dziwne miejsce. Ruiny starej stodoły. Psy gdzieś ujadają. Nie. Za blisko domów. Nawrót na drogę.

Kilka kilometrów dalej skręcam do innego gaju. Kamieni. Ale docieram do końca. Od drogi daleko, przynajmniej samochody nie będą mnie budzić... Tylko to kamienne podłoże!

Trasa: ? - Sewilla - 455 - Azuaga - 111 - Castuera - 103 - 502 - ?

315 km

Total: 5252 km.

Dzień 17.

Z Cieniem zawsze się miło podróżuje. Rano i popołudniu. Widać dokładną pracę zawieszania. Jak było to przysłowie? "Mały człowiek może rzucać bardzo długi cień".



Te góry dalej to Kordyliery. Zarąbiście się leci po takich dłuuuuuugich prostych... Miejscami te drogi i łuki mają fantastyczne. Tylko składać motocykl.



Dwie przełęcze. 1352m i 1566m. Znów jak w Alpach. Trzeci bieg i redukcje do dwójki. I zakręt za zakrętem.



Do Avili kilka kilometrów...

Prosta droga. Cezet idzie 70km/h.

JEB!

100 metrów przedemną wybucha opona w ciężarówce. Strzępy lecą w powietrze. Tuman kurzu. Samochody za mną włączają światła awaryjne. Ja tylko kierunek i wyprzedzam zatrzymującą się ciężarówkę na poboczu.

Nie chciałem bym wyprzedzać ciężarówki i być świadkiem takiego wybuchu!

Avila. Stare mury obronne. Centrum miasta podobne, kupa starych kamiennych domostw.



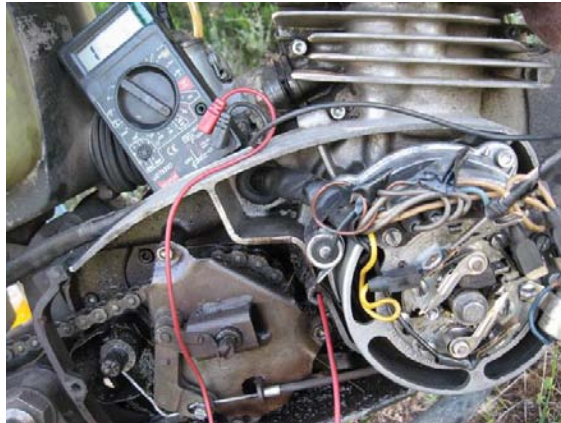
Motocykl do zwiedzania miasta się nadaje. Człowiek zaparkuje kilka metrów od centrum. Biedaczyska w kamperach. Błądzą szukając parkingu...

Nie wiedzieć czemu coś żołądek szwankuje. Nie mogę czegoś strawić? Żywność? Suchy prowiant z supermarketów. Paszczety, rybki, etc. Zupki chińskie. Warzywa. owoce, jogurty. Mleko. Słodycze. Nic innego nie jadam?

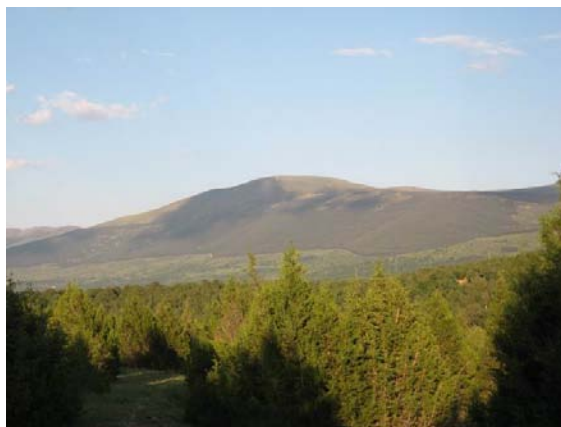
McDonald. 0,5 litra coli. I jakieś zdrowe menu ;-). Od razu lepiej. Jest Carrefour. Za 4.99 euro kupuję olej 2T. Na stacjach paliw ceny oliwy 2T znacznie wyższe.

Nocleg. Przed dojazdem do ekspresówki E05. W sumie fajne miejsce. Łagodne zbocze górskie. Polna droga tylko czeka aby pojechać nią. Robię pieszy rekonesans. Będzie super miejscówka w lesie.

Do zachodu słońca zostało jeszcze kupa czasu. Więc profilaktyczny serwis zapłonu. Sprawdzenie wyprzedzenia platynek.



Miejscówka w dechę. Szczyt w oddali przypomina Babią Górę w beskidach:



Dostane zawału! Zając przebiegł sprintem z krzaków!!!!

Trasa: ? - 502 - Avila - Segovia - 110 - ?

396 km

Total: 5648 km.

Dzień 18.

Brrr... Zimno.... Atak rosy. Cały motocykl zroszony. Lecim stąd.

Awaria nr 4.

Motocykl nie odpala. Kilkanaście kopnięć. NIC. CO jest? Wczoraj ustawiałem zapłon. Może nie podłączyłem jakiegoś kabla. Szybkie zdjęcie bocznej pokrywy silnika. Wszystko Ok. Składam do kupy. Kilka kopnięć. Zapłon...

Silnik zagaduje na jeden cylinder. ROSA! Pewnie wilgoć weszła gdzieś... Jadę więc wertepami do drogi na jednym cylindrze. Zaraz silnik się zagrzeje. Powinien drugi cylinder łapać... Tyle że może być zalany!

Docieram do asfaltu. Na jednym cylindrze silnik słabo ciągnie... Jeden... Dwa.... Trzy... Wlekę się... Cylinder zaczyna łapać... Przerywa... llll! Jest... Zapłon przywrócił się... Chmura dymu... Gaz... Jedziemy!

Prawdziwa awaria miała dopiero nastąpić. Najgroźniejsze są awarie o których nam się nie śniło!

Normalne tankowanie paliwa. Normalne płacenie. Normalne wsiadanie na motocykl. Takie normalne chwile jakich wiele.

BRZDĘK! Urwała się sprężyna od podstawki bocznej w motocyklu! Jakiś dzień awarii????

Awaria nr 5.

W sprężynie odleciał zaczep. Mam kombinerki. Gość na stacji paliw ma drugie. Więc razem siłujemy się i skracamy sprężynę. Jest teraz za krótka. Brakujący kawałek skręcam samościągającą gumką. Wygląda w deche. Działa. Można jechać!

El Burgo de Osma:



Kamieniczki:



Robi się znacznie zieleniej. Jakoś tak inaczej:



Na wylocie z Tatazony szukam warsztatu mechanicznego. Trzeba naciągnąć łańcuch. Bo wydaje dziwne odgłosy na zakrętach. W dodatku "nóżka" od motocykla obwisła. Trzeba wymyśleć coś innego zamiast gumki. Jak zgubie sprężynę to będzie tragedia!

Jest warsztat. Mechaniczno - spawalniczy. Stary hiszpan i młody chińczyk. Nie kumają obcych języków. Klucz 22 poprosze! Dogadujemy się migowo. Hiszpan znika a chińczyk patrzy jak dłubię. Naciągnięcie łańcucha. Czyli odczepienie kufrów. Motocykl na centralkę. Popuszczenie ośki kluczem 22. Popuszczenie zabieraka kombinerkami. I korekta koła.

Kilka minut i zdobione. Jak wytłumaczyć sprawę ze sprężyną??? Chodzę po całym warsztacie i szukam natchnienia. Najlepsze by było jedno ogniwo z łańcucha. czym to można zastąpić? Dużą podkładką. Pokazuje chińczykowi małą podkładkę i że potrzebuję większej. Znika i pojawia się za chwile z podkładką. Jak znalazł!



Byczek też się trafił:



Ejea. W jakimś parku widzę turystę sakwiarza. Są ławeczki w cieniu. Można zrobić przerwę. No to zagaduje do gościa coby czas milej minął. Jedzie z Hiszpanii do Paryża. Szosówka rower. Pakunki. A dziadek stary. To się nazywa aktywne spędzanie wolnego czasu.

Droga 125. Płasko i gorąco:



I wężej! I to wcale nie jest jakiś boczny skrót. Poprostu brakło kasy jeszcze na tą drogę ;-)



Wąsko po horyzont. Ale i tak w dechę:



Na punkcie widokowym przychodzi jakiś dziadek. Nie rozumiemy się. Ale gada cały czas do siebie podziwiając widoki. Ja konsumuje jabłka. A on gada i gada... ;-)



Olej Carrefoura vs Orlen. Spotkanie na obcej ziemi:



Droga 132. Kaniony i dziwne formacje skalne:



W Santa Maria skręcam w boczną drogę na wschód. Jakaś lokalna. Wąska. Tu prędeż znajdę nocleg. Są lasy. Ale ogrodzone płotem! Wszystko ogrodzone drutami. Każda polanka. Aby zwierzęta z pastwisk nie zchodziły na drogę.

Analiza mapy. Nie jadę na północ do Jaca. Dalej na wschód.

Dobry wybór. Wąska droga puściuteńka. Mijam strumień. Boczna droga do lasu. Miejsce jak znalazł na nocleg. Strumień obok. Miękkie mchy. Las. Nawet zasięgu GSM nie ma!

Trasa: ? - 122 - Soria - Tarazona - 125 - Ejea - 132 - Sanata Maria de la Pena - ?

372 km.

Total 6021 km.

Dzień 19.

Noleg jak najbardziej ok. Cisza. Spokój. Sielanka. Boczną drogą docieram do głównej 330. Teraz prosto na północ. Widać Pireneje w oddali:



Sabinanigo. Pobocza zastwaione samochodami. Festyn jakiś? Ale tak wcześnie z rana? Kupa policji. Co jest? Wszytsko staje się jasne. Jakiś wyścig kolarski. Na północ w stronę francji korek. Ale wymijam wszystkich motocyklem. Policja co kilka minut przepuszcza samochody. Wyścig kolarski jakiś amatorów. Jadą tą samą drogą co samochody. Więc co jakiś czas wyprzedzam grupki kolarskie:



Malowniczymi drogami docieram do granicy. Ale lipa. Granica zamknięta. Przez ten wyścig kolarski! Cały ruch kierują na parkingi. Zagaduje do motocyklistów co gadają z policją. 4 GODZINY! Za 4ry godziny otworzą drogę.

Objazd? Nie ma. We Francji chcę dojechać do Lourdes. Lipa na całego. Za dużo gór do pokonania. Jedni motocykliści zawracają. Inni pakują się na parking i idą z tłumem ludzi oglądać wyścig kolarski.

A Ja?



Nie ma nic złego co by na dobre nie wyszło. Spoglądam na piękne góry dookoła siebie. A może zaatakować jakiś szczyt??? Jak się już tu utknęło?

Analiza szczytów dookoła. Najlepiej będzie iść obok wyciągu narciarskiego. Przynajmniej nie zabłądze ;-)



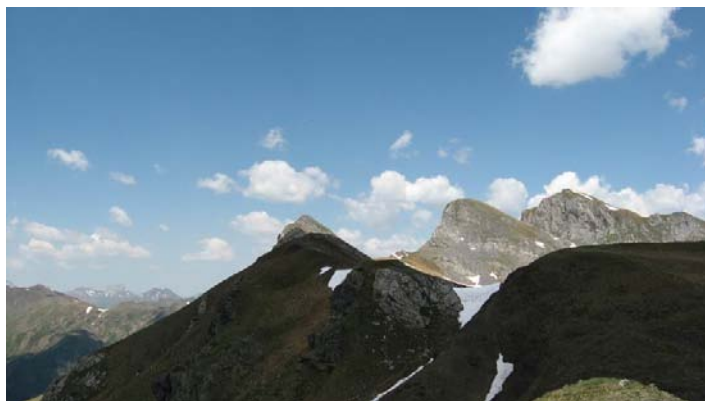
Tankpad na plecy. Butelka wody i trochę żarcia. Mam 4 godziny. Zobaczymy jak polecą. W górę! Im wyżej. Tym ciekawiej. Ostro pod górę bo to stok narciarski. Ale nie pod takie górki się wychodziło. W dole maleńki parking:



I w końcu szczyt. Widoki w DECHę: (przypis: wg google maps 2100 m jak nic ;-)



W każdą stronę świata:



Daleko w dole moja droga:



Bohater na szczycie wszechświata:



Teraz tylko w dół. W połowie zejścia znajduję w ziemi mały statyw fotograficzny. Widać w zimie ktoś zgubił. Schodzę dalej. Jeszcze mocniej patrzę pod nogi. I znajduje w sumie jeszcze 3 euro! Będzie trzy euro do rozwalenia ;-)

Minęły trzy i pół godziny. Ale co widzę. Policja przepuszcza czasem samochody na parking przy granicy. Zbieram się i Ja.

Półkilometra do przodu. Na granicy kupa kawiarni i butików. Auta na poboczu. Nikt nie jedzie. Zagaduje do Francuza. BMW GS 1200. Pancernik. Przechwała się że to niby niezawodne i wogóle. Nic nie dotyka tylko leje paliwo. Ale taka Krowa nie dla mnie. Za ciężka.

Niemcy na motocyklach się niecierpliwiają. Co widzę. Omijają korek do granicy. Może i mi się uda? Przyczepiam się do nich na końcu. Policja nie robi im problemów. Mijamy samochody na poboczu. Strasznie wolno to idzie. Bo obok nas przemykają kolarze. Za wąsko. W końcu wybawienie. Auto pomocy technicznej na sygnale jedzie pomału. Nas motocyklistów mija. Trąbi na samochody na jezdni i te się zsuwają na pobocze. A my na motocyklach za nim! Jeszcze za nami kilka samochodów... A reszta przyblokowała policja...

Z górki. Ale prędkości zawrotne 15 km/h. Wleczemy się za autem pomocy technicznej. Bo na drodze kolarze i kupa poparkowanych aut... Ale w dół... Najważniejsze...

Droga do Lourdes. Najkrótsza prowadzi przez góry. Podjazdy niemiłosierne. Jest kilka kilometrów dłuższa, bardziej na północy. I tak ją przejadę szybciej niż bym miał się wspinać na wielkie przełęcze (1709m i 1474m). Napewno było by ładnie. Decyzja: północ. Lourdes. Tabliczka wjazdowa do miasta. Polski akcent. Miasto partnerskie CZĘSTOCHOWA. Aż się płakać chce ze wzruszenia.

Lourdes to miejsce pielgrzymkowe. Coś jak nasza Częstochowa właśnie. Ale klimatu zero. Same stragany i tłum ludzi. Jakoś za komercyjnie:



Ludu masa:



Panie Boże dzięki że tyle przejechałem. Błogosław tym co walczą codziennie z kilometrami i śpią po chaszcach...

Na drogę. Nocleg. Mijam Trabes. Noclegu nie widać. Wioski i miściny. Same pola. Zero zacisznych miejsc. Jest jakiś znak na kemping. Jadę 3 kilometry bocznymi drogami. Nie wiedzieć czemu na wolnych obrotach świeci się kontrolka ładowania! Co jest? Pad prądów?

Na wolnych obrotach przygasa jeden gar. Stanowczo za mało prądu. Wyłączam światła.
Jest lepiej.

Kemping.

- Ile????

- 16,80 euro.

- Nie ma szans niższej ceny dla podróżnika?

- Nie!

Jak nie to nie. No wolny rynek. Przed wyjściem już kilka osób ogląda motocykl z jakimś niedowierzaniem. Zagadał bym z Wami ludzie miło ale muszę nocleg gdzieś znaleźć.

Nie ma co szukać nolegu przy głównej drodze. Jest na szczycie kawałek lasu przy dziwnej wieży. Teren wygląda ok. Na uboczu trawka pod laskiem. W oddali wieża:



Chmury idą...

Czemu na wolnych obrotach gubi się prąd w motocyklu?

Będzie padać???

Trasa: ? - 330 - Sabinanigo - Lovie-Juzon - Lourdes - Tarbes - N21 - ?

281 km.

Od domu: 6302 km.

Dzień 20.

Z ciemnych chmur zero deszczu. Motocykl odpala. Ale czerwona kontrolka ładowania świeci się do 1500 obr/min. Więc jazda bez świateł mijania, tylko na postojówkach. Ostatnie czego mi trzeba to padnięcia akumulatora.

Moissac. Niedziela. Udaje mi się znaleźć czynną stację paliw. W niedzielę we Francji większość czynnych stacji paliw to automaty. Lejem do pełna i w drogę na Cahors. Oczywiście bocznymi drogami. Wioski i miasteczka. Pagórki. Co jakiś czas naprawdę nie wiem jak jechać. Bo drogowskazy do maleńkich wiosek, co ich nie ma na mapie.

Cahors. Znów ładna droga kanionami rzek Lot i Cele. Ciekawe czym farbią tą wodę:



Wioski jak ze średniowiecza. Brakuje tylko rycerzy i jakiejś bitwy ;-)



Na jednym z zacienionych parkingów przegląd techniczny. Regulator, prostownik. Zamieniam na zapasowe elementy. Ale dalej lipa. Wszystko wygląda OK. Nie wiem co jest z tym ładowaniem. Dobrze że to tylko wolne obroty.

Za Aurillac: tylko odkręcać manetkę w winklach:



Mijam na szerokim poboczu polską ciężarówkę. CAŁA STOP! Jak ten Mitas ślicznie piszczy na gorącym asfalcie...

No i godzina zleciała. Dawno nie rozmawiałem po polsku ;-) Gość ma przymusową przerwę. Tachograf. No i siedzi na tym odludziu. Kilka kilometrów brakło do jakiegoś cywilizowanego parkingu...



Nolceg. Masyw centralny. Kupa wzniesień. Kupa wiosek. Skręcam w boczne drogi na wschód. Sympatycznie:



Za wioskami pola i lasy. Miejsca jak znalazł na nocleg. Sprawdzam pierwszą drogę do lasu. Lipa. Zarośnięta trawakiem. Jadę dalej. Jest miejsce parkingowe z ławeczkami. Wykoszona trawka. Może przenocować ot tu??? Nie no, to nie Norwegia ;-)

Kilkanście kilometrów dalej kolejny las. Piękna boczna droga do lasu. No i piękny nocleg się znalazł. MeCH! Będzie miękko ;-) Zielony namiot. Zielona Cezeta. Maskowanie ani na wojnie! ;-)



Trasa: ? - Auch - Moissac - Cahors - Figeac - N122 - Brioude - ?
416 km.

Od domu: 6719 km.

Dzień 21.

Miękko! Aż się nie chce wstawać ze śpiwora! Perfekt miejsce do spania.

Jak zwykle skróty przez góry:



Trzeba minąć jakoś Lyon. Nawet udaje się przedmieściami. Znów przez dziwne wioski dolatuję do N83. Na parkingu znów spotykam polską ciężarówkę. Zamiast jechać w upale gadam z kierowcą. Kupa tu polskich ciężarówek. Autostrady są płatne. Więc latają głównymi nacjonalkami.

N83. NUDY. Kilometry się wleką. Nudy!

Nocleg. Tak. Już nocleg. Bo nic ciekawego nie mogę sobie przypomnieć z tego dnia ;-)

Przed Besancon droga leci dolinami. Czyli z bocza. I brak noclegowni. Wypatruje i nic. Do miasta kilkanaście kilometrów. Zajeżdżam na przydrożny parking. Trawka wykoszona. Ławeczki. Prawie jak w norwegii. W norwegii na takich miejscach miło się śpi bo jest bezpiecznie. Ale we Francji? Przy głównej drodze N83???

Jak mają mnie zabić, to i tak zabiją. Na parkingu stoi kilka ciężarówek. Widać kierowcy tu będą nocować. Zagaduje do madziara - Węgra. Powinno być bezpiecznie. On tu śpi. Tyle że w szoferce. Będzie problem z władzą? Nie umie odpowiedzieć.

Najwyżej w nocy zbiorę namiot jak by władza miała problemy.

Idę zapytać jeszcze Franca. Święto. Gość w osobówce mówi po angielsku. Bo normalnie każdy Francuz umie tylko po swojemu nawijać.

- ...

- Nie, z policją nie powinno być problemu.

- No to tylko rozbić namiot.

- Tylko, że to miejsce jest "gejowe"

Że niby co??? Powtórz Gościu!

- Spotykają się tu geje.

No i? Jechać gdzie indziej? Walić To! Zapalam Cezet i jak rasowy cross parkuję między ławeczkami.



Rozbicie namiotu. Kolacja. Gość z osobówki był gejem. Bo przyjechał inny samochód - facet. I gdzieś pojechali. Idę spać. Gej do namiotu nie wejdzie. Bo pomyśli że jak ktoś tu przyjechał takim motocyklem i w dodatku, śpi na parkingu, to musi być zabijaką z Polski. Dobranoc!

Trasa: ? - Ambert - Montbrison - Bourg - N83 - ?

372 km.

Od domu: 7092 km.

Dzień 22.

I??? Nocleg pierwsza klasa. Policji nie było. Gejów nie było. Tiry palą z rana silniki. Więc i ja się zbieram. Do granicy niemieckiej rzut beretem. No może taki większy rzut.

Besancon. Zachciało się mi zwiedzać centrum z motocykla, no i zacząłem błędzić. DObrze że motocyklem można zawracać wszędzie.

Ostatnie zakupy we Francji przed Mulhouse. Jak zwykle obok motocykla przewijają się ludzie i patrzą z zainteresowaniem. Przynajmniej dowiaduję się od nich że do Niemiec stąd już leci bezpłatna autostrada. Więc żegnam Francję. Autostrada czeka... Jeszcze kilka kilometrów...

Mijam rzekę Ren. Jakieś dawne budynki graniczne. Niemcy. Lecim autostradą. E35-5 na Freiburg.

Nie lubię ekspresówek. Autostrad jeszcze bardziej. 80km/h. A wszyscy mnie wyprzedzają. Im bliżej Freiburga. Tym większe chmury...

Freiburg. Mżawka atakuje. Czekam kilka minut pod wiaduktem aż przejdzie. Do drogi 31 na wschód. Oznakowanie super. Nie można się zgubić. A za miastem coraz ciekawiej. Górki. Lasy. Zakręty. I kupa motocyklistów latających po tych winklach.



Przed Neustadt pakuję się w deszcz. Całe szczęście jest zjazd z drogi. I nawet jakieś zadaszanie. Gdzie? Szkoła podstawowa. Stoję pod salą gimnastyczną. Co jakiś czas idzie jakiś uczeń. Nawet nauczyciel. Ale tylko dziwnie patrzyli jak jadłem bulki z konserwą. Pewnie byli głodni...

Deszcz nie przechodzi. Czyli jak za starych czasów. Ubieram przeciwdeszczowca. Na cewki zapłonowe upycham woreczki i reklamówki. Aby woda nie odcinała cylindra. No i w deszcz! Gdzieś chyba przestanie padać.

Przestaje po kilkudziesięciu kilometrach. Swoją drogą drogi w Niemczech są strasznie nudne. 31. 311. Dużo fragmentów na prawie jednojezdniowych ekspresówkach. A jak już są dwa pasy. to bez poboczy awaryjnych. Czyli tylko zjazdy co jakiś czas. Nic tylko lecieć. Niemcy najbogatszy kraj. Kupa wypasionych samochodów. Merce. Ferrari czy Porshe. Kupa aut oflagowanych bo przecie trwają Mistrzostwa Europy w piłce nożnej 2008.



Chmury:



Ulm. Miałem szybko przeliecieć przez miasto. Ale jak zobaczyłem z oddali wieżę katedry, to już wiedziałem że muszę obczaić centrum:



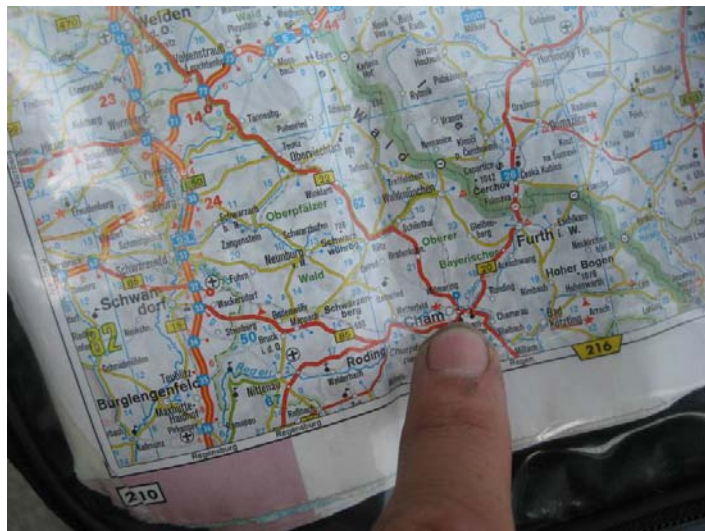
Katedra ładna z zewnątrz. W środku "za nowocześnie". Teraz tylko wydostać się z miasta na drogę nr 10. I znów dalej na wschód. Dilingen. Donauworth. Miasta umykają. Kilometry lecą. Noclegu nie widać. Dopiero za Manching jakiś znośny kawałek lasu. Jest i droga do lasu. Ale las straszny. Same trwaska i gałęzie. No ale co? Trzeba spać. Dobrze i to...

Dzień 23.

Poranne zadymienie niemieckich lasów:



Czechy bliżutko. Widać już je na mapie. Jadę na chama!



Regensburg. Znów autostrada. Dobrze że kilka kilometrów.

Opona przednia ma dość. Zząbkowana we świat:



Droga 16a. Ekspresówka krajobrazowa. Niby Niemcy mają bardzo dobre oznakowanie. Mimo to jakoś zblądziłem. Zamiast trafić na granice w Ceskiej Kubicy wyjechałem na innym przejściu granicznym - Vseruby.

Jeszcze pamiątkowa fotka niemieckiego mostu. Dużo mostów ma informacje dla wojska. Pewnie z czasów blitzkreigu.



Niemieckie Sielankowe asfalty:

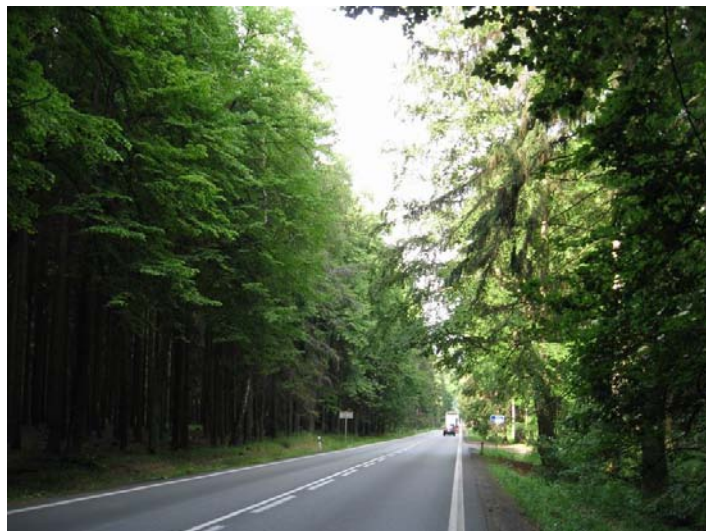


Jak mi wesoło. Jak czytam mijane wioski czeskie. Swojsko brzmiące. I te socjalistyczne skody. Wesoło! W Czechach jadę na światłach. Ładowania brakuje tylko na wolnych obrotach. Cezet idzie słabo. Przydał by się ostatni postój serwisowy i skorygowanie przerywaczy. Więc na stacji paliw tankuje do pełna po czym rozkładam kłamoty do regulacji.

Na stacji paliw lachony myją szyby w autach. A w motocyklu? Nie dała rady zetrzeć tysięcy plam po muchach ;-)



Kilometry w czechach lecą. Mało przerw. Dużo jazdy. Dojadę na noc do domu. Do Polski nie ma daleko... Raptem kilkaset kilometrów... Od muld przestawia się obrotomierz. Zawiesza się poza skalą ;-)



Jednak coś jest nie tak z tym ładowaniem. Jadąc na światłach motocykl przerywa. Brakuje prądu. dobra. Bez świateł też się da jeździć. Najwyżej będę się tłumaczył policji.

Drogi. 22. 4. 29. 19. 34. 150. JEB!

Awaria nr 6.

Na wiosce w zakręcie spadł łańcuch. Stawiam motocykl. I idę do domów pytać o klucz 22.

Od razu się znajduje ;-)

Dobrze że nie spadł na pustkowiu! W czasie zakładania łańcucha

zatrzymuje się gość na czoperze. Ale nie potrzebuje pomocy. Miło że sie zatrzymał. Skręcam wszystko. Już czuje że będą problemy. Chmury ciągną za mną. Jakaś zarąbista burza idzie.

Lecę na wschód. Co jakiś czas oglądam się za siebie:



Tam gdzieś za króymśset zakrętem jest dom:



Gdyby droga prowadziła prosto na wschód. To może bym uciekł przed deszczem. Niestety droga biegła niczym wąż. Oglądam się za plecy za chmurą. A ona bezczelnie obeszła górę bokiem. I ja się wpakowałem w deszcz. Całe szczęście jest wioska. Szybkie zerkanie za przystankiem autobusowym. Jest! Burza rozpętuje się:



Pompa jakich mało. Na drogach robią się strumienie. Godzina w plecy.

Na wiosce nie widzę kościoła, bo bym o nocleg jakiś zapytał. Przestaje padać. Chmury ciemne wiszą. Ubieram przeciwdeszczowca. I przed siebie. Na światłach. Pytanie kiedy klęknie ładowanie w motocyklu.



To samo zdjęcie z innym ustawieniem aparatu. Fioletowość. Nigdy nie widziałem takiego nieba.



Za wioską lasy. Na drodze pełno gałęzi i liści. Jak po trąbie powietrznej. Na trzecim biegu cezet mieli wszystko pod kołami. Na przełęczy zapiera mi dech w piersi. Nigdy nie widziałem takiego Ognia na Niebie. Zdjęcie nie oddaje potęgi obrazu. Całe niebo jest ciemną chmurą. A na zachodzie kawałek błękitnego niebia. Wszystko dookoła jaśnieje czerwonym odcieniem nienaturalnie. Czeski Ocean Ognia. Tak kiedyś będzie wyglądał koniec świata...



Akumulator pada przed Boskowicami. Ładowanie jest tylko powyżej 3000obr/min. Godzina 10ta w nocy. A ludzi kupa na mieście. Wszyscy się gapią na mega kauże. Samochody się boją przejechać. Cezet? Idzie rasowo. Dwie fontany wody lecą na boki. Przez miasto jadę bez świateł. Bo ładowania brak. Jest motel. Ale jakiś porąbany. Nie przyjmują w nocy gości! Meldować można się tylko za dnia!

Wracam do centrum miasta. Gaszę sprzęta. Siedzę na maszynie. Zziębniety. Śpiący. Szczęśliwy.

Bez świateł nie ma co jechać w nocy. Nocleg? Pytam kilku osób o jakiś garaż na noc. Lipa. Kościół? Budzić ludzi po nocach???

Człowiek tyle jest wart ile może się sprawdzić w ekstremalnej sytuacji. Plan?

Opcja A. Naprawić ładowanie. Opcja B. Czekać do 5tej rano aż wyjdzie słońce. Więc? Po co czekać do rana jak można spróbować naprawić ładowanie.

Paliwo. Zapłon. Motocykl odpala. Czerwona lampka ładowania jaśnieje. Bez świateł jadę na pobliską stację paliw. Tam jest światło. Dobre miejsce na naprawę.

Pierwsze gorąca czekolada z ekspresu. Dwa. Wyciągamy narzędzia:



Awaria nr 7.

Diagnostyka. Alternator podaje 9V zamiast 14v. Włączenie lamp powoduje kompletny zanik prądu.

1. Wymieniam regulator i prostownik. Mam je w zapasie. Dalej to samo.

2. Ocena stojana alternatora. Trzy wtyczki stopione. Końcówki przepalane.

Na stację paliw docierają dwa bojowe wozy straży pożarnej. Goście uwaleni. Chyba usuwali jakieś drzewa. Nie mają zbędnych terminali do kabli.

3. Nowe końcówki? Ucinam zbędne kable od podświetlenia zegarów. Są.

4. Wprawiam nowe wtyczki. Zapłon. Lipa. Dalej braki prądu.

5. Montuję zapasowy alternator ze stojanem. Dobrze że go mam!

6. Ustawianie na nowo zapłonu do nowego stojanu. Zmęczenie wychodzi. A to precyzyjna robota.

Nawija się podпиты czech. Brakło chyba alkoholu w nocy więc zaopatruje się na stacji. Gadamy chwilkę. Gość patrzy z politowaniem. Jego słowa pozytywnie mnie nastawiają: "trzeba być silnym!" i zacsika pięść w górze.

7. Teraz musi lecieć! Musi!

Lipa. Dalej brak prądu. Na innym alternatorze! Co jest???? Załamka. Zostawiam wszystko i idę na kolejną gorącą czekoladę. 2ga w nocy!!!

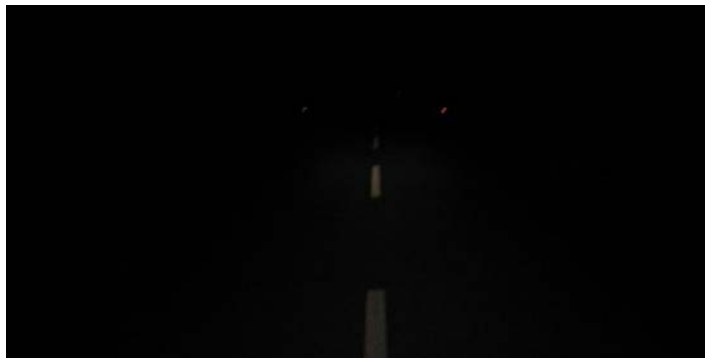
Niby źle. Ale jest zarąbiście. Coś się dzieje. Mega Awaria. I to tak blisko od domu!

8. Sprawdzam kabel po kablu. Dociskam wszystko. Paliwo. Ssanie. Przekop. Ogień!

Silnik zagaduje. Czerwona kontrolka gaśnie. Ładowanie na mierniku cudne 14V. Włączone światła. Ładowanie dalej cudne. Ruszam kablami i motocyklem. Czy aby na jakiejś dziurze się coś nie odłączy???

Gościowi ze stacji dziękuję za miłe przyjęcie. Zbieram graty. Lecimy dalej. Jak padnie prąd. To będę czekać na poboczu do rana.

I znów na drogę. Zero problemów z prądem. Zero ruchu. Cudowna ciemność. Cudowna wolność:



Prostějov. Prerov. Mieściny lecą pomału. Wioski ciemne, bo brak prądu po burzy. W końcu dwupasmówka E-462. I wschód słońca:



Z każdym metrem bliżej. Z każdym metrem bliżej Polski. W końcu obwodnica Czeskiego Cieszyna....

S1. Cieszyn - Bielsko Biała. Tu już każda dziura znana w drodze. Kilometry lecą miło. 80km/h Cezet gna. A Bielsko? Nic się nie zmieniło:



Stacja BP i gorąca zapiekanka z rana. Prawa dłoń jest sparaliżowana od trzymania gazu.



Ostatnia Fota Bohatera (przypis: zarośniętego):



Do domu 25 kilometrów. Jak zwykle. Na trzech Żywieckich rondach jadę dookoła. Symboliczny gest zwycięstwa. Maroko? Cezetą? Da się?
Ostatnia foto. Wjazd do podwórza. Z wypraw wrzałem zawsze po południu lub wieczorem. Ale nigdy nad ranem.



Koniec. W końcu można iść spać... Tylko zakotwiczyć maszynę w garażu...

Trasa: ? - Regensburg - Cham - Strakonice - Tabor - Humpolec - Boskovice - Prerov -
Cieszyn - Żywiec - Jeleśnia
783km.

Ogółem 8377 km

Epilog:

Jak było? Jak zwykle. Cudnie ;-)
24 dni. Kasa? Około 2700 pln.

372 litry paliwa.

Czyli 4,4 litra paliwa na 100km.

Wspomnienia? Bezcenne. Z alpejskich widoków... Z hiszpańskich dróg...

To jeszcze kilka fotek?

Dziura po zgubionej kontrolce:



Syf z drogi:



Zasyfiony gaźnik. Nie było z nim problemów wogóle:



Widok na kokpit. Zawieszony wskaźnik obrotomierza.



Koniec. Koniec Mili Ludzie. Toast! Toast za kilometry!